Nr. 14. Warszawa, dnia 6 Kwietnia (25 Marca) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SPRAWA POKOJU.

Zamach na Li-hung-Czanga, dość poważnie poranionego, wyszedł na dobre chińczykom. Czyn fanatyzmu dał wynik wręcz przeciwny celowi swemu — jeżeli wogóle takie gorączkowe wybuchy gniewu i nienawiści w indywiduach oślepłych od namiętności mogą mieć jakiekolwiek cele. Mutsu hito, równie rycerski, jak mądry i w zamysłach swych wielki, jakby brał w siebie cały wstyd narodu swego za pogwałcenie świętości osoby poselskiej, dał Chinom zadośćuczynienie, politycznie niespodziewane, moralnie świetne: zrzekł się kardynalnego swego żądania, aby pokój toczył się swoją drogą a wojna swoją. Wszyscy dowódcy japońscy otrzymali już od niego rozkaz wstrzymania kroków nieprzyjacielskich na lądzie i na morzu. Co więcej, rozkaz ten nie wyznacza ostatecznego kresu trwania przerwy wojennej, tak, iż chińczycy, nie mając wiszącego nad sobą terminu, będą mogli spokojnie, bez noża na gardle, wywijać się z kleszczy japońskich. Tej strony, która z zawieszenia broni korzysta, nic krępuje nic, prócz wzajemności i zobowiązania, przy wszelkich wogóle armistycyach stawianego, iż wojska dotychczas działające żadnych nie otrzymają posiłków i żadnych też nie będą dokonywały ruchów. Ruchy chińskie dotychczas bywały odwrotami w tył—na zaieruchomieniu swem zatem chińczycy tylko zarabiają.

Mikado zobowiązał się wyraźnie zaniechać wszelkich działań na półwyspie Szantung (gdzie Wei-hai-wei), w zatoce i ponad zatoką Peczyli, wreszcie przeciw Mukdenowi. Chińczycy zatem mogą tylko zyskać na układzie, który na widowniach wojny chroni ich od dalszych postępów oręża japońskiego, po za ich obrębem pozwala wzmódz się w siły, a nieprzyjaciela trzyma z daleka od strategicznych celów. Zawieszenie broni obejmuje i Formozę, i wyspy Pescadores, przed wydaniem jeszcze rozkazu przez admirała Ito opanowane. Posiadanie tych wysepek rybackich daje japończykom wygodną podstawę do tamowania ruchów nieprzyjacielskich na morzu i pozwoli, w razie rozchwiania się układów, energicznie natrzeć na Formozę.

Rokowania o pokój prowadzi zięć Li-hung-Czanga, Li. Jeżeli choroba najznakomitszego dziś statysty, polityka i dyplomaty chińskiego przedłuży się, będzie musiał syn niebios przysłać innego w jego miejsce pośrednika, bo Li dobrym jest do przyjmowania, ale nie odpierania żądań. Gdyby zaś sam wystarczył na potrzebę, wskazywałoby to, że żądania japońskie są nieprzeparte, postawione jako *ultimatum*, i że ostateczne tylko wykończenie układu o pokój może się odbyć wśród sporów, a preliminarya same muszą być podpisane takie, jakie do podpisu przedstawiono. Pójdą one jeszcze do Pekinu i wtedy dopiero zyskają moc obowiązującą. Pierwotnie podawane warunki znowu teraz wynurzają się z cienia tajemnic japońskich: 400 milionów yenów (przeszło dwa miliardy franków), Formoza i zastaw terytoryalny, a nadto południowa Mandżurya (zapewne tylko półwysep Liao-tong, na którym Port-Arthur) — warunki twarde. Postawienie ich nie dziwi; powodzenie je uzasadnia. Większy podziw wzbudzi ostateczne im poddanie się przez Chiny; zwłaszcza zabór „południowej Mandżuryi" będzie już ciosem dotkliwym. Wydanie południowych Lieu-Kieu (Ryu-Kiu), wobec Mandżuryi i Formozy jest już drobnostką.

Uderza zamilczenie zupełne o Korei, a ta pierwsza przyczyna wojny może wydać i najważniejszy jej skutek. Dyplomacya europejska, jeżeli ma wpłynąć na przyszłe urządzenie stosunków między Chinami a Japonią, wpływu swojego przedewszystkiem na tym punkcie dowieść będzie usiłowała. Formalnie Korea jest dziś wolną, faktycznie — trzyma ją Japonia w garści. Możliwość utrwalenia się tego posiadania jest niebezpieczeństwem dla niej, a faktem niemiłym dla dyplomacyi europejskiej; jedne tylko Niemcy mogą bez niechęci patrzeć na usadowienie się japończyków w kraju, który do r. 1876 prawnie zostawał w lennej zależności od Chin. Położenie geograficzne półwyspu jest tak ważnem, że w systemie mocarstwowym nad brzegami oceanu spokojnego musi on być przedmiotem walki interesów, walki, której jedna chwila nie umorzy, a cały dalszy rozwój stosunków międzynarodowych, logicznie przewidywany, podsycać będzie musiał. Po tryumfach dzisiejszych, nawet po rozrośnięciu się Japonii jako wielkiego mocarstwa na dalekim wschodzie, musi przyjść do starcia, które może jeszcze jej wydrzeć wszystkie tych tryumfów korzyści. Łatwiej będzie japończykom zyskać południową Mandżuryę na Chinach, niż otrzymać nad Koreą swoje choćby prawo patronatu, wsparte chęcią wprowadzenia cywilizacyi do nawpół barbarzyńskiego kraju. Chiny mogą szczerze nawet wyrzec się praw swoich, ale nie w mocy Chin będzie zapewnienie stronie przeciwnej korzyści spodziewanych z faktu posiadania, uszlachetnionego dążnością cywilizacyjną. Cokolwiek postanowi o Korei traktat chińsko-japoński, postanowienie ostateczne należy do przyszłości, do której wszystkich potrzebnych żywiołów dostarcza już teraźniejszość.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Deutschland über alles i— *Bismarck über alles.* Niczem się prawie teraz polityka przeważająca nie zajmuje, niczem innem, tylko Bismarkiadą w Sachsenwaldzie. Codzienne pielgrzymki do Friedrichsruhe znużyły już wielkiego męża. Według ostatnich wiadomości—wy-

pocznie sobie trochę, zanim go na nowo radością i czcią oblegać zaczną. Tymczasem rozpoczęte przez członków trzech Izb sejmowych *homagium* trwało od 25 marca do 2 kwietnia włącznie, a dzień rocznicy był dniem najuroczystszym. Przymaszerował na ten dzień ze stacyi Aumühle do Friedrichsruhe cały korpus młodzieży uniwersyteckiej ze wszystkich wytwórni światła naukowego w Niemczech, w sile przeszło czterech tysięcy serc wdzięcznością bijących. Książę miał do nich mowę, może najrozsądniejszą z tych, jakie ostatnie lata z ust jego usłyszały: dorobek był ciężki; dynastye więcej poświęciły dla jedności, niż się zdaje, a Prusy nie najmniej; potrzeba zachować skarb pozyskany nietkniętym, abyście w 1950 r. wołali jeszcze: „Niemcy niech żyją." Legenda o poświęceniu Prus jest konieczną, nieuniknioną, należy do metody: nie można przecież mówić, że Niemcy wpłynęły w Prusy; mówi się, że Prusy utonęły w Niemczech: niema polityki bez fałszu. Zresztą mowa była wogóle spokojną, rozsądną, nawet mądrą. Do obu prezydyów Izb pruskich i prywatnych przedstawicieli sejmu cesarstwa z Levetzovem na czele, przemówił jubilat z goryczą o nienawiści stronniczej, której sam ciągle jeszcze doznaje: i tego mu za złe brać nie można; mówił przyzwoicie, a miłość własna domagała się zadośćuczynienia.

Po odmowie uczestnictwa urzędowego w owacyach w d. 23 marca i podaniu się do dymisyi prezesa Levetzova, musiał sejm cesarstwa wybrać sobie nowe prezydyum: stronnictwa liberalne i zachowawcze usunęły się od roboty, w której musiałyby być w mniejszości, i wybór dostał się wyłącznie stronnictwom opozycyjnym. Przeszli: Buol na prezesa, Schmidt na pierwszego, Spahn na drugiego viceprezesa; dwaj skrajni należą do Środka, środkowy — do obozu wolnomyślności. Cesarz Wilhelm, wydając w samą rocznicę obiad na cześć Bismarka, tak sprawę urządził, aby tych właśnie przeciwników bismarkowskich mieć przy swym stole. Nowe prezydyum przedstawiło mu się przed samym obiadem: musiało i na obiad pozostać. Ale wolnomyślny Schmidt nie przeszedł przez to kaudyjskie jarzmo: został u siebie w domu, zrzekając się zaszczytu przyjęcia na pokojach zamkowych. Pogłoska, jakoby dwaj obecni wymówili sobie nieporuszanie podczas obiadu sprawy oporności sejmu na entuzyazm ogólnie narodowy — nie zasługuje na wiarę: na takich *civis*'ów dzisiejszy Berlin zdobyć by się nie mógł. Sejm cesarstwa odroczony do 23 kwietnia.

Wniosek Kanitza (monopol handlu zbożem) w sejmie cesarstwa odesłany d. 30 marca do komisyi Dwudziestu ośmiu, dostąpi zaszczytnego pogrzebu. Teraz już, gdy rada stanu uznała go za niepraktyczny, a Hohenlohe Marshall gorąco zapewnili, że traktatów rząd tknąć nie pozwoli, można liczyć na to, że i sam cesarz będzie stanowczym, niewzruszonym przeciwnikiem zbawczego środka. P. Hamerstein, z początku nadzieja agrarczyków, cienko już teraz śpiewa w Izbie pruskiej.

W Anglii oba stronnictwa, ważąc się na szali władzy ministeryalnej, przygotowują się do rozprawy, która będzie musiała jednemu z nich stanowisko wzmocnić w sposób wyraźniejszy, niż dotychczas: albo liberalni nie będą już potrzebowali drżeć o swą przewagę liczebną, albo zachowawcy spostrzegą, że jeszcze winogrona kwaśne. Najlepszym środkiem i probierzem dla Rosebery'ego będzie przeprowadzenie odważne bilu o dzierżawach irlandzkich, oddanego już pod obrady Izby gmin: to zjedna wszystkich irlandczyków; upaństwowienie kościoła w Walii przywiąże znowu radykalnych: tym sposobem dostałby gabinet dwie wspory, które po zażegnaniu niebezpieczeństwa w nim samym przez pogodzenie się Harcourta z Roseberym pozwoliłoby mu doczekać sierpnia, letnio-jesiennych wczasów. Z pogranicza Indyj i Chin, z krainy Czytral (Chitral) dochodzą niepokojące wieści o klęsce oręża angielskiego i groźnem położeniu komisarza dyplomatycznego. O ostatecznem zatwierdzeniu układu o Pamir i o Szugnan i Wahan, pomiędzy Pamirem, a uważanym już od lat kilku przez anglików za afganistański, Badakszanem — nic nie wiadomo.

Agence de Constantinople radośnie zapewnia, że wszelkie pogłoski o konferencyach posłów w Stambule w sprawie mordowanych armeńczyków, są płonne; niema w nich ani słowa prawdy. Lord Kimberley znowu, minister spraw zagranicznych w Londynie, uśmierza trwogę i ból komitetu anglo-armeńskiego zapewnieniem o najlepszych chęciach mocarstw: zrobi się wszystko, co będzie można— błyszczące kamyczki. A tymczasem dyplomacya niema dotychczas nawet dokładnego obrazu tego, co się stało w górach Tauru; tego nawet na rządzie tureckim wymódz nie mogła, czy nie chciała. Nie boją się dyplomaci wprawdzie obrazić Turcyi, ale się boją jej ruszać. Nuż się zapadnie—będzie kłopot z podziałem: niech więc wszystko stoi jak jest.

Na Kubę odpływa Martinez Campos; 270 oficerów i 7,000 żołnierzy ze sobą zabiera. Powstanie się szerzy, wyładowują patryoci kubańscy z wysp sąsiednich, gdzie spokojnie mogą zbierać i zbroić ochotników. Jakiś Maceo, prawdopodobnie z Jamaiki, wysadził na ląd silny już oddział i z nim pobił hiszpanów, biorąc 300 do niewoli; musiała to być ruchawka plantatorów. Powstańcy mają już rząd, zarząd terytoryalny i podatki. Ameryka daje im pieniądze, ale czy da poparcie poważne? Nacisk dyplomatyczny bez groźby oręża na nic by się zdał, a Stany Zjednoczone odważyłyby się na wojnę w takim tylko wypadku, gdyby „Perła Antyllów" dobrowolnie spadła na łono wielkiej Unii.

Dnia 1-go kwietnia podłożono dynamit pod pomnik generała ukróciciela Henziego. Powylatywało trochę szyb wokoło. Rząd przyrzekł 2,000 flor. za wykrycie sprawcy.

W sejmie węgierskim prawo o równouprawnieniu wyznań jest przedmiotem rokowań między Izbami; prawo o uznaniu żydów doznało stanowczego odrzucenia przez Magnatów.

W Wiedniu reforma podatkowa i reforma wyborcza zabierają dla siebie czas, uwagę i siły przedstawicieli podlitawskich.

W Peru była w marcu rewolucya: wygnano prezydenta Caceres'a, wprowadzono tymczasowo Candama, a postawiono kandydaturę byłego dyktatora Pieroli na stałego prezydenta.

BADANIA NAUKOWE.

„JAŹŃ ZBIOROWA"

(przyczynek do psychologii życia zbiorowego)

IV.

Gromada zmienia naturę człowieka pod względem uczuciowym: budzi w głębi jego duszy drzemiące instynkty, natomiast zagłusza te, które w co-

3)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 4.

Arjos wyszedł ze świątyni, przesunął się wolnym krokiem na wzgórze nadbrzeżne i puścił wzrok po za rzekę do osady Mirów, którą sen okrywał ciszą i nad którą księżyc stanął zapatrzony, jak gdyby w niej coś zdumiewającego dojrzał. Step Moronów wyglądał jak spalony język puszczy, która w nieugaszonem nocną rosą pragnieniu ziajała gorącym i niezdrowym oddechem.

Arjos.

Arcykapłan ją i mnie przeklął, jak dwie zbrodnie ziemi i mówić nie pozwolił. Ty, Boże, wysłuchaj mnie i odpowiedz, czy grzeszne są jego usta, czy moje serce.

Ty ją znasz, boś stworzył; Ty wiesz, żeś ją stworzył nietylko piękną, ale pięknie piękną, że w niej widzę tyle pięknych kobiet, ile razy ją ujrzę, że jest ciągle inna i ciągle piękna.

Ty wiesz, żeś jej dał uczucia tak czyste, jak wiatr podobłoczny, który nigdy ziemi nie dotknął i kurzom się nie zmącił.

Ty wiesz także, żeś jej nie dał sumienia, bo ona go nie potrzebuje w swem niepokalaniu.

A jeżeli to prawda, jeżeli ona jest oblubienicą myśli i mocy twojej, czyż grzeszę, kochając ją?

Miłość moja dla niej jest jak przestrzeń, w której wszystko się mieści i po za którą nic nie istnieje, jak lawa, która wszystko w sobie roztapia.

Jak woń kwiatów, która ciągle z nich uchodzi i ciągle w nich pozostaje, tak jej czar, chociaż bezustannie mnie odurza, nigdy się nie zmniejsza.

Nawet jej cień, kiedy go całuję, pachnie.

Oko moje jest tak czułe na dotknięcie jej widoku, jak serce moje na jej radość lub smutek.

Gdy ona się zachmurzy, zaraz w duszy mojej huczy grzmot.

Jeżeli zapłacze radością, a ja piję jej łzy, czuję w nich smak szczęścia.

Gdyby kiedykolwiek zapłakała skargą na mnie, a ja bym wypił te łzy, otrułbym się niemi.

Gdy jej nie widzę, czas i przestrzeń drobią mi się na mniejsze cząsteczki, niż najszybsza myśl uchwycić może.

Gdyby myśli moje o niej były cieńsze od nici pajęczych i gdyby nas przedzielał świat cały, codzień bym go zasnuł niemi.

Oto przede mną całe stworzenie Twoje, Boże, a ja nic nie widzę, tylko ją.

Koło mnie przepływają jakieś szumy, a ja nic nie słyszę, tylko jej głos.

Jeżeli można ją jedynie wyżebrać, będę żebrał.

Boże dobry, Boże litościwy, daj mi ją, a nigdy żadna moja prośba nie trąci ucha Twojego.

Z twarzą ku niebu podniesioną czekał długo i daremnie na jakiś skutek swych wyznań i błagań.

Czy gwiazdy są głoskami boga, któremi on na niebie pisze swe wyroki i czy z nich nie ułożył dla mnie odpowiedzi? Nie, nie przesunęły się, stoją w tych samych punktach, co zwykle. A może one w tem stałem położeniu wyrażają jakąś myśl boską, odpowiadającą na wszystkie pytania ludzkie, tylko że jej dotąd nikt odczytać nie zdołał? Może...

Opuścił głowę w zadumie i pogrążył w niej duszę bezdennie. Ziemia oddychała tak cicho szelestem liści i traw, jak gdyby chciała w miękki i łagodny spokój owinąć jego czułe serce. W obozowisku Mirów, od dziś Moronami zwanych, nie połyskiwało ani jedno światełko, tylko ich białe płótna namiotów odbijały się jak stado mew na ciemnych falach nocy. Na-

dziennym trybie życia tam istnieją. Jest jedynie dotknięta przez naukę, chociaż bynajmniej nie jedyna właściwość tego jestestwa odruchowego, które ochrzciliśmy nazwą „jaźni kolektywnej.“ Istnieją wskazówki, że wpływy, wywierane przez gromadę na jednostkę, są o wiele rozleglejsze. Fizyologia daje nam poznać wprost zbawienne skutki prostego towarzystwa, bo dowiodła, że obecność istot, do nas podobnych, podnieca nas w szczególny sposób. „Oto chory — powiada Régis — dotknięty manią powątpiewania lub, powiedzmy ściślej, brakiem stanowczości. Na przekór wszystkim wysiłkom woli, nie może on się zdecydować na otworzenie drzwi lub zapięcie guzika u ubrania. To nad jego siły, póki jest sam jeden. Ale niechaj ktoś będzie obecny, niemoc wtedy ustaje: o każdym czasie chory otwiera drzwi, zapina ubranie. Tacy w towarzystwie osób, chociażby dla siebie obcych, czerpią siłę moralną, tj. ową moc woli, której nie posiadają w odosobnieniu.“ Nie mamy tutaj jeszcze spójni duchowej pomiędzy osobami, nic żywszego nie wiąże ich z sobą, znalazły się one może przypadkowo w tym samym pokoju, a przecież prosty widok bliźnich powraca choremu wolę. O ile to działanie będzie silniejsze, kiedy zamiast prostego sąsiedztwa zjawi się pomiędzy duszami indywidualnemi zespolenie uczuciowe, kiedy w głębi każdego zadrga ten sam ton harmonii duchowej i dotkniętego niemocą woli złączy z organizmem zbiorowym. Psycholog francuski, Féré, już bardziej się zbliżył swojemi studyami do tego zagadnienia, mierząc na dynamometrze siłę fizyczną osoby, przebywającej w samotności, oraz w towarzystwie. Zaspokojenie instynktu gromadzkiego oddziałało na tę stronę, bo cyfry, otrzymane w ostatnim wypadku, są stale wyższe. Poprzednio już mieliśmy przykład, jak obecność samiczki głodzonemu królikowi przedłuża żywot, teraz zaś widzimy, że podobnego rodzaju warunki w rodzie ludzkim potęgują moc woli i podnoszą siłę energii żywotnej, uwidoczniającej się w zwiększeniu skurczu mięśni. Fakty te rzucają szczególne światło na psychikę jaźni zbiorowej. W gromadzie jeden drugiego podnieca, każdy jest tam ogniskiem, które zebrawszy od współczestników napływające prądy ożywienia, odrzuca je ku nim powrotnie, zwiększywszy napięcie połączeniem ich w jedno. Przypomina mi się ustawienie zwierciadeł pod pewnymi kątami, gdzie skutkiem tego obraz, rzucony na nie od gorejącej lampy, zamienia się na tysiące świateł we wszystkich kierunkach. Emocya, ogarniająca każdego z członków tłumu, podobnie odbija się i jak z nią, pod wpływem wzajemnego oddziaływania bywa coś podobnego z innemi właściwościami, jako też z siłą fizyczną mięśni, wytrwałością na ból i in. Stanowczo mogę twierdzić, że w jaźni zbiorowej, objętej bohaterstwem na placu boju, dynamometr dowiódłby nadzwyczajnego podniesienia siły fizycznej; że przeciwnie śród rzeszy, pierzchającej w sromotnym popłochu, znaleźlibyśmy coś odmiennego. Studyując opisy seansów spirytystycznych, niejednokrotnie z podziwem zatrzymywaliśmy swoją uwagę na odbywającem się wyładowaniu energii nerwowej. Osoby „medyalne“ rozwijają tam taką moc mięśni, że jakiś cherlak podnosi odrazu po dwie osoby i chodzi z tym ciężarem po pokoju. Często można tam się spotkać z nader charakterystycznemi zeznaniami. Są one wprawdzie nawskroś subjektywne, może stanowią nawet owoc złudzenia, ale gdyby okazały się istotnemi, wtedy byłyby przyczynkiem bardzo doniosłym do poznania jaźni zbiorowej. Niektóre osoby w „łańcuchu,“ włączone do dreszczu konwulsyjnego, przebiegającego przez to ciało zbiorowe, skarżą się na silne zmęczenie, inne natomiast czują się jakby wzmocnione fizycznie *). Świadczyłoby to, że we wzajemnem oddziaływaniu na siebie osób pojedynczych, zlewających się w organizmie kolektywnym „łańcucha,“ jedne jakby tracą siłę nerwową — „oddają energię astralną,“ drugie je zabierają. Gromada w takim razie posiadałaby bardziej złożony mechanizm nerwowy, aniżeli można było wnosić z dotychczasowych tak szczupłych danych: tam istotnie pojawiałyby się silne ogniska, ześrodkowujące w sobie energię nerwową. Stawiamy to zagadnienie jako możliwe, bo zarówno do przyjęcia, jak i odrzucenia brak nam dowodu. Poprzestaniemy na uwadze, że natura duchowa „łańcucha“ mistycznego, należycie zbadana, dostarczyłaby niewątpliwie cennych szczegółów co do jaźni kolektywnej.

Jeszcze krok dalej, a znajdziemy się w obliczu gromady duchowej, działającej w opętaniu ideami mistycznemi. Jaźń indywidualna w takich wypadkach dochodzi do stanów psychicznych o niezwykłem napięciu, niestety, dotąd wcale nie badanych tak, jak tego wymagają zapowiedzi nauki ściślej. Niedawno mówiliśmy w *Prawdzie* o zachwycie proroczym, polegającym na tem, że ruchy rytmiczne ciała wywołują niesłychanej mocy cerebracyę żywiołową. Upojenie gromadne zwłaszcza sprzyja temu objawowi psychicznemu. Sekciarze zbierają się od czasu do czasu na uroczystości „picia piwa duchowego,“ tam wziąwszy się za ręce, krążą w tempie coraz prędszem przy odgłosie śpiewu chóralnego, aż póki ten i ów znużony nie padnie na ziemię. Leży na wznak, piana z ust mu się toczy, dreszcz konwulsyjny wstrząsa ciałem. Trwa to parę minut. Konwulsye ustają, zamiast ataku mięśniowego rodzi się żywiołowe skojarzenie idei, „prorokowanie.“ Niekiedy czyni to jednocześnie parę osób, „języki“ schodzą nieraz na całą gromadę, szczególna błogość ogarnia wszystkich. Ludzie, którzy dobrze paru słów nie mogą powiązać w towarzystwie, popisują się darem krasomówczym. Na tym gruncie w ciągu dalszym mogą powstać obłędy zbiorowe, wizye i masowe halucynacye. Zresztą te stany kolektywne rodzą się nawet bez podkładu mistycznego, jedynie w upojeniu gromadnem. W jednym z portów zebrała się w szynku spora garstka majtków, która podpiwszy sobie, wymyśliła grę dość oryginalną: jedni mieli udawać psów, drudzy — wilków. Doszło do tego, że rozłączono ich pogryzionych i pokrwawionych, gdyż wpadli w zapalczywość, właściwą tym zwierzętom. Halucynacye i wizye oraz zachwyty prorocze niekiedy dosięgają potwornej wybujałości w takich przejściach dziejowych, jak rokosz husycki lub dragonady Ludwika XIV. Korzystając z bogatego materyału historycznego, zatrzymamy się nieco nad epidemią psychiczną pomiędzy kalwinami z gór cewońskich, oraz nad duchowością jaźni zbiorowej, która powstawała tam na gruncie ekstazy mistycznej.

Ludność górska, po cofnięciu edyktu

*) Pod ręką posiadam jedynie cyfry, dotyczące posiedzeń Eusapii w domu Richeta. Możemy spierać się o przyczynę zjawiska, ale jego wiarogodność jest niewątpliwą. Zwykle na dynamometrze dosięgała ona 50, nikt zaś z obecnych nie przekraczał po za 165. Tymczasem medyum podczas transu dało 210! Żałuję, że nie wynotowałem cyfr z angielskiego sprawozdania prof. Lodge'a. Podano tam właśnie zwyżki i zniżki siły fizycznej osób pojedynczych przed i po łańcuchu.

---

reszcie od strony świątyni ukazała się wysoka postać, która stanęła przez chwilę zwrócona ku Arjosowi i znikła w gęstwinie mroków. Widocznie powiał od niej ku niemu przenikliwy chłód, bo Arjos otrzeźwił się z rozmarzenia i powiódł wzrokiem wokoło.

Naturo, chyba żaden dźwięk nie sprawia ci rozkoszniejszego drżenia nad to, które śpiewa dusza moja: Orla! Ha, z jakąż radością powtórzyły to imię niezliczone odgłosy! Już i jutrzenka, zbudzona tem hasłem, wybiegła wcześniej na niebo z zarumienioną od wesela twarzą. Niebawem i słońce wejdzie z promiennym uśmiechem

Widok 5.

Dom rady plemienia Mirów, zbudowany z kamienia i wzniesiony w środku osady na wzgórzu, był całkiem odkryty dla nieba, ażeby bogowie mogli bez przeszkody widzieć i słyszeć toczące się w nim rozprawy. Miał on tyle wejść, ile plemię liczyło rodzin, łącznie żyjących pod władzą i opieką najstarszych ojców, którzy stanowili radę królowej ludu, najstarszej w nim matki. Przez drzwi te weszli wczesnym rankiem uczestnicy wiecu, przybrani w długie, zielone płachty na nagich ciałach, do których należał również Tylon, i usiedli na prostych, drewnianych ławkach. Za nimi wkrótce przez osobne, najszersze podwoje, przyszła sędziwa matka i królowa Mirów, Mirolana, w otoczeniu kapłanów. W żółtej, powłóczystej szacie, z twarzą stuletniem życiem zsuszoną, z oczami ociemniałemi szła niepewna i drżąca, podtrzymywana przez kapłanów. Czoło jej otaczał wieniec z ziół różnorodnych, w ręku trzymała berło, wyrzeźbione z drzewa w kształcie pęczka kłosów zbożowych. Usiadłszy na tronie, złożonym z dwu karków i głów wolich, przemówiła słabym głosem.

Mirolana.

Matka Mirów jest z wami.

Najstarszy z kapłanów, Gotar, wzniósł oczy i ręce do niebios.

Gotar.

Bogowie, czuwajcie nad nami!

Tylon.

Niewiele słów wam przynoszę z mojego poselstwa, ojcowie, ale za to wiele niecnoty. Wirowie, którzy teraz przezwali się Moronami, nie żądają od nas przymierza, ale poddaństwa. Chcą oni, ażebyśmy odstąpili naszych bogów dla ich Jama, a na nasze łąki i pola wpuścili ich trzody.

Głosy.

Źle ich zrozumiałeś, Tylonie.

Tylon.

Nie sam byłem.

Kapłani.

Tak rzekł Moron.

Głosy.

— Tak mówią tylko drapieżce pustyni.

— Czy myślą, że jesteśmy stadem kóz, otoczonych przez lamparty?

— I oni to nazywają przymierzem?

— Zwołajmy młodzież i uzbrójmy ją!

— Nie mamy broni!

— W rozpaczy wszystko jest bronią!

— Czyż nasi bogowie obojętnie przypatrywać się będą najazdowi?

Gotar.

Dajcie mi głos. Wybuchy gniewu mogą nam sprawić chwilową ulgę, ale nie rozgromią wrogów. Oświećmy sprawę spokojnym rozumem. Kiedy w Moronach widziano jasny obłok, ja zawsze upatrywałem w nich ciemną chmurę. Ta horda koczowników, żyjąca tylko z tego, co ziemia daje człowiekowi bez pracy, musiała znaleźć się w szponach niedostatku i rzucić na nas zawistne spojrzenie. Żądane przez nich przymierze jest tylko pozorem do napaści, a muszą oni czuć w sobie siłę, a w nas słabość, kiedy na to się ważą. Już od pół roku przepatrują naszą osadę, do czego my im życzliwie pomagamy.

Głosy.

Kto?

Gotar.

Przedewszystkiem ty, nieroztropny Tylonie, który najgłośniej zapytałeś: kto?

nantejskiego pozbawiona swoich pasterzy, rozegzaltowana prześladowaniami, traci równowagę wewnętrzną. Prorocy przebiegają wioski i daru swego udzielają współwyznawcom na prawo i na lewo. Jedna z prorokiń, pewna dama z Grenoble, pozostawia po sobie aż trzysta następców, którzy głoszą swoją naukę w „uśpieniu.“ Ktoś mówi, że zachwyt szerzył się wtedy tak samo, jak wiatr rozdmuchuje pożar. „Nocni posłowie, opowiada jeden z naocznych świadków, na parę godzin uwiadamiali okolicę w promieniu kilku mil o tem, że powien prorok będzie przechodził. Dnia wyznaczonego, o świcie, mężczyźni i kobiety opuszczali swoje domostwo, szli tłumnie przez lasy i doliny, zgromadzali się na najwyższych wierzchołkach. Ludność po parę dni i nawet po tygodniu nie wracała do ogniska domowego, lecz towarzyszyła prorokowi z góry na górę, karmiąc się po drodze jedynie orzechami leśnymi.“ Zimą roku 1700 wprost epidemia ogarnia doliny pasma cewenńskiego i Langwedocyi; samych dzieci prorokujących liczą do ośmiu tysięcy. Wśród powszechnego obłędu najoporniejsi tracą głowę, nawet katolicy, pozostając wierni dogmatom Rzymu, wbrew woli prorokują przeciwko „wszetecznicy babilońskiej“: starzec 60-letni, do szpiku kości prawowierny syn Kościoła, wpada w ten nastrój i nawraca jedną z prorokiń. Żywiołowa cerebracya ogarnia mózgi drobiazgu, zaledwie odrosłego od ziemi. Garstkę takich maluczkich proroków rząd francuski poruczył wydziałowi medycznemu w Montpellier do zbadania. „Profesorowie zdumiewali się na widok niepiśmiennej dziatwy, głoszącej rzeczy, których ich nie uczono. Kiedy lekarze weszli do więzienia, mali fanatycy otoczyli ich i nawracali. Nic umieli oni wytłomaczyć sobie tego co widzieli.“ Jeden z opisujących epidemię cewenńską, opowiada, że widział dziecko piętnastomiesięczne na ręku matki, które wśród spazmów i szlochania wyraźnie wołało: *Je vous dis, mon enfant* (zwykły zwrot, od którego zaczynały się proroctwa); inne, 13-14 miesięczne, z kolebki wzywa do skruchy; dokoła zaś kołyski klęczą dorośli, słuchają i płaczą. Zwłaszcza prorokiń jest bez liku. Kobiety takie chodzą od wioski do wioski i płaczą „łzami krwawemi“ — „Bóg dał im łzy z krwi, aby opłakiwały zburzenie Jeruzalemu!“ Marszałek Villiers opowiada, że w miasteczkach dziewczęta, zebrawszy się na ulicy zaczynały trząść się jak opętane i prorokowały w gromadzie. Żywiołowa cerebracya z idyotów robi krasomówców. „Służyła u moich przyjaciół — ktoś mówi — kobieta czterdziestoletnia, prawie idyotka. Chyba to była najprostsza i najciemniejsza z cór ustronia górskiego. Kiedy mi powiedziano, że miewa kazania nadzwyczaj piękne, nie uwierzyłem. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, ażeby potrafiła ona wygłosić po francusku zdanie z czterech wyrazów, lub ażeby ośmieliła się przemawiać w gronie liczniejszem. Poszedłem parę razy na jej kazanie. Żaden chyba mówca tak nie przykuwał do siebie uwagi słuchaczy. Z ust jej płynęły słowa potokiem. Był to cud!“

Dotychczas zatrzymywaliśmy się nad faktami, świadczącymi o sile epidemii cewenńskiej. Otóż na takim podkładzie egzaltacyi powszechnej, wśród wiary że dnie „wszetecznicy babilońskiej“ są policzone i że królestwo prawdy niebawem zapanuje na ziemi, odbywają się zbiorowe ćwiczenia religijne i jednocześnie organizowanie oporu. Łatwo zrozumieć, czem były te zbiorowiska osób prześladowanych, opętanych mistycyzmem i spędzających na modłach w pustkowiu dnie całe. Gromada była podniecona wzajemnym widokiem, śpiewem chóralnym, słowami kaznodziejów. Ten i ów padał na wznak, tracił przytomność — „zasypiał,“ trząsł się spazmatycznie. Inni trzymali go za głowę. Po okresie bólu czuł błogość, powstawał, w „uśpieniu,“ wygłaszał stereotypowe: „mowię tobie, dziecię moje!“ i prorokował w czystej francuszczyźnie. Mowę jego przerywały konwulsye innych, niekiedy rzesza, złożona z paru tysięcy osób, leżała na ziemi, trzęsła się i później zbiorowo prorokowała. Pojawiały się przytem wizye. Lasy, góry i ustronia rozbrzmiewały głosami aniołów, Duch święty przemawiał do tłumu. Już gromada zwykłych śmiertelników dochodzi nieraz do zmącenia jasnego sądu: jeden z kaznodziejów na okręcie emigracyjnym, każąc na temat, że na świecie wszystko jest próżnością, doprowadził swoje audytoryum, złożone z prostaczków, do takiego stopnia, że kiedy zaczął w egzaltacyi mówić o możliwem rozbiciu się statku, gromada, zapominając o pogodzie słonecznej, rzuciła się do łodzi i wzywała pomocy. Cóż więc musiało dziać się w górach, wśród powszechnego przez lata całe rozgorączkowania? Tłumom, dążącym na modły tajemne, towarzyszyła „melodya boska,“ tj. śpiewy, rozlegające się w powietrzu i przypisywano aniołom. W r. 1689 rzeszy, złożonej z sześciuset osób, ukazał się cherubin i zabronił wiernym chodzić do kościołów katolickich. Kiedy wojsko napadło na pewną gromadę, kaznodzieja wołał do obecnych: „dzieci Boga, bądźcie odważnego serca, bo zaprawdę powiadam wam, że wasze ciało będzie jako opoka na uderzenie szabli i kuli! Anieli będą za was się potykali!“ Mnóstwo osób natychmiast ujrzało tych sojuszników: aniołowie spadali na nich, jako „rój muszek.“ Hugonoci rzucają się w swoje ramiona, chuchaniem udzielają jeden drugiemu Ducha św. i idą zwartym szeregiem przeciwko wojsku, ufni, że kule ich nie tkną. Było to wszystko na początku epidemii jeszcze słabej.

Są to rysy zewnętrzne, z których łatwo stworzyć w umyśle psychikę owej jaźni kolektywnej. Pokrewne obrazy musiała przedstawiać psychologia „rzeczpospolitych anielskich,“ tj. gmin pierwotnego chrześciaństwa, podczas prześladowań w pierwszych wiekach naszej ery. Podobny nastrój panował też w obozie husytów i anabaptystów, tylko że zamiast poddawania się swemu losowi, drgała tam mężna dusza wojowników. Władza idei nad człowiekiem dosięga w tych wypadkach najwyższej siły.

Nie zanalizowaliśmy, ale raczej naszkicowali objawy, które rodzą się w gromadzie, objętej wspólną duchowością. Przedmiot to pociągający, ale, niestety, zgoła nie opracowany. Człowiek, wprzężony do jaźni zbiorowej, nietylko uczuciowo przestaje być samym sobą, ale również odporność jego organizmu, siły fizyczne i inne pokrewne czynności ulegają przemianie. Zwłaszcza ruchy mistyczne wywierają wpływ silny na psychikę ludzką, zaczynając od przebudzania niezwykłej mocy cerebracyi żywiołowej. Sama gromada, zjednoczona harmonią ducha, staje się jakby jednym mózgiem: miewa kolektywne wizye, choruje na zbiorowe halucynacye. Uczestnicy tych jestestw gromadnych są faktycznie niepoczytalni — w tem znaczeniu, że świadectwo setek osób, uczestniczących w takiem zdarzeniu, bynajmniej nie przemawia za wiarogodnością faktów, lecz jedynie świadczy o istotnem wrażeniu subjektywnem. Wraz z tem potrącam o wartość wogóle świadectwa ze strony tłumu, który utracił zmysły krytyczne, bo stał się olbrzy-

---

Tylon.

Ja? Ja, którego mianowaliście wodzem, ja jestem zdrajcą? Gotarze, wiek ci dał powagę, lud — godność, ale ja ci nie dam prawa krzywdzenia mnie hańbiącem kłamstwem.

Gotar.

Wobec bogów i królowej matki naszej wszyscy powinniśmy wyznać nasze winy. Dlatego nie cofam mojego oskarżenia przeciw tobie.

Tylon.

Matko ludu i wy jego przewodnicy, darujcie mi szał, którym ta potwarz mój mózg skręciła. Ja nie jestem Tylon, wódz, młodzieniec, który temu zebraniu cześć winien, ja jestem już tylko śmiertelnie ugodzony człowiek.

Z wyciągniętemi rękami pobiegł do Gotara.

Wyłap z powietrza, wywierć z ich uszu i pamięci swoje nieczne słowa!..

Gotar.

Ostrożnie, Tylonie. Przodkowie ustanowili taki dla nas strój w radzie, ażeby każdy hamował swoją złość obawą, że targnąwszy się, odsłoni obnażone ciało. Więc cofnij ręce, bo one z pod otwartej płachty odkryły twoją nagość. Ja zaraz skończę, a wtedy będziesz mógł zapomnieć, gdzie jesteś i do kogo mówisz. Twoim przyjacielem jest Arjos.

Tylon.

Tak.

Gotar.

Który codziennie tu przybywa, a często nocą się zakrada.

Tylon.

Jeżeli obcy pies może wzdłuż i wszerz przelecieć każdej chwili naszą osadę, czemu nie ma tego uczynić uczciwy człowiek?

Gotar.

Ale pies nie stanie na czele wyprawy przeciw nam, jak Arjos.

Tylon.

Skąd wiesz o tem?

Gotar.

Wiem. Człowiek, który was wczoraj przewoził przez rzekę, podsłuchał w nocy samotną rozmowę Morona z Arjosem na wzgórzu. Widział on potem twego przyjaciela, oglądającego aż do świtu naszą okolicę.

Tylon.

W takim razie jestem winien.

Gotar.

Byłeś nieoględny — więcej ci nie zarzucam.

Tylon.

Za mało, Gotarze, byłem głupim i jestem niegodzien, ażebyście tak nierozważnemu człowiekowi powierzali jakiekolwiek dowództwo. Ja nikogo na Moronów nie poprowadzę, tylko siebie na Arjosa. Biedna Orla!

Głosy.

— Kto biedny?
— Nad kim on się lituje?
— Kogo żałujesz, Tylonie?

Gotar.

Uspokój się. Gorszem byłoby, gdybyś mu dalej ufał, niż to, żeś go tu wpuszczał. Teraz radź z nami.

Tylon.

Nie, nie mogę. Wy nie wiecie, ile ran otworzyło się teraz w mojem sercu. Myśli biegają mi po głowie, jak ścigające się wrogi, a każda z nich jest wrogiem moim. Arjosie, ty byłeś tylko szpiegiem, tylko zdrajcą? Ja muszę wprzódy spojrzeć w te jego błękitne oczy, w których nigdy nie dostrzegłem obłudy, muszę usłyszeć jego głos, który mi zawsze dźwięczał szczerością. Jeśli tu nie przyjdzie, ja pójdę do niego... Mówcie i radźcie sami, ojcowie, beze mnie, moją głowę jedna boleść rzuca drugiej.

Osłabiony usiadł.

Gotar.

Mamy nadzieję, że się opanujesz, że i w tej walce, jak w każdej, będziesz mężnym... Czcigodni ojcowie ludu, sądzę, że nie uznacie w tem przesadnej ostrożności, jeśli zalecę, ażebyśmy natychmiast uzbroili wszystkich mężczyzn zdolnych do broni

miem jestestwem zbiorowem. Jak za występki gromadne nie możemy pociągać do odpowiedzialności osób pojedynczych, a kogoś, pierzchającego w ogólnym popłochu, nie wolno nam piętnować nazwą tchórza, podobnie nie godzi się dowierzać świadectwu zbiorowemu od chwili, gdy wiemy, że pojedyncza świadomość zniknęła w jaźni zbiorowej.

L. Krzywicki.

ETNOGRAFIA.

Wisła miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom VIII, 1894.

Chyba nie potrzebujemy dowodzić czytelnikom ważności nauk geograficznych. Co do etnografii, to sam przedmiot jej uwalnia nas od definicyi, któraby nowe jakieś światło na tak ważną i żywotną dzisiaj naukę, rzucić mogło. Etnografia to podstawa socyologii a poniekąd psychologii, tkwiących w wierze, przesądach, zabobonach, podaniach, klechdach, zwyczajach i grach ludowych. Należy się wdzięczność mężom, którzy studya tak marnemu na pozór przedmiotowi poświęcili. Nie jest to zabawka, jeżeli w Niemczech, Anglii, Francyi, Włoszech, a nawet w tej praktycznej Ameryce istnieją nietylko specyalne czasopisma, ale stowarzyszenia i zjazdy ludoznawców. I u nas, dzięki p. J. Karłowiczowi, wychodzi czasopismo kwartalne *Wisła*, którego już VIII tom mamy przed sobą. Mało to wydawnictwo ogół obchodzi. Rzadko kto je czyta, a jeszcze rzadziej abonuje. Prasa umieściwszy krótką wzmiankę o piśmie etnograficznem, sądzi, że z godnością spełniła obowiązek obywatelski; dla niej sprawą żywotną jest humoreska, nowelka, dramat, komedya itp. Ale przystąpmy do rzeczy.

Na czele zeszytu I czytamy art. p. Jana Łosia pt. „O literaturze ludowej," która, zdaniem autora, jest podstawą książkowej, wyróżnia się zaś od tej drugiej nie duchem, lecz pewnemi odrębnemi cechami, powstałemi pod wpływem zmienionych nieco warunków. Dla objaśnienia genezy pomienionych cech i właściwości, autor sięga do czasów praaryjskich. Praca ta poważna, napisana stylem pięknym, pełnym prostoty i wzniosłości.

P. Erazm Majewski przetłomaczył z niemieckiego rozprawę dr. Maurycego Hoernesa p. t. „Systematyka archeologii przedhistorycznej. Dr. H. wykłada prahistoryę przy wszechnicy wiedeńskiej. Kraj nasz, ze względu na rdzenność gruntu, niewyjałowionego jeszcze, dość wdzięczne dla badacza przedstawia pole.

P. Bogumił Hoff opisuje „Kolędę" we wsi Wiśle.

P. Iwan Franko podaje „Przyczynki do badań o Mahomecie u słowian." Wiadomo, że słowianie w wiekach średnich stanowili „przedmurze" przeciwko najazdowi dziczy azyatyckiej. Ścierając się z hordami, składali nietylko żywot, ale i wolność w ofierze. Głowy ich wsadzano na tyki. Tysiące jęczały w srogim jasyrze bisurmanów. Bez względu na tak nieprzyjazne stosunki, wpływ islamizmu znalazł dosyć wdzięczną glebę w podaniach ludowych. Turcy mimo swojej okrutnej wojowniczości, mieli pewne zalety rycerskie, ujawniające się w tolerancyi religijnej i narodowej. To też ujarzmieni przez nich słowianie, wolni od służby wojskowej i nieopłacający zbyt wielkich podatków, cieszyli się dość znośnym bytem, pielęgnując swoją religię i narodowość. W pieśniach południowo-słowiańskich liczne tej tolerancyi zachowały się ślady. Wojny te ze wschodem wytworzyły epikę serbską i ukraińską. Znaczną część nawet tej poezyi, według badań p. Stasowa, jest naśladowaniem epiki turańskiej. Toż samo poniekąd proza.

P. dr. Karol Matyas pisze o śmierci w wyobraźni i ustach gminu.

P. Antoni Juszkiewicz o weselu litwinów wielońskich.

P. Z. A. K. „O młynarczance i zbóju." P. Zieliński, „Kilka zabobonów owczarskich."

Dział zatytułowany „Poszukiwania" zawiera lecznictwo ludowe w okolicach Sieradza i wiele innych przyczynków etnograficznych. Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące pióra pp. Bronisława Grabowskiego, Sembrzyckiego, Z. Was. Przegląd czasopism opracowany przez p. Waleryę Marrené, Rafała Lubicza, Szczęsnego, Jastrzębowskiego, B. W. K. i innych.

P. Sembrzycki mówi o rogach jelenich w przesądach ludowych, tudzież o pająkach w niektórych kościołach. Nadmieniamy, że w kościele św. Marcina w Warszawie wisi pająk kształtu rogu jeleniego, podobny bardzo do świecznika w kościele kazimierskim, którego bardzo piękną podobiznę umieszczono na czele niniejszego zeszytu.

P. Jan Karłowicz uważa nazwy *Koziary*, *Koźlarze*, *Koźcy* itp. za odmiany *Koziarzów* tj. ludzi chowających kozy.

Życiorysy zmarłych: Bogumiała Hoffa i Michała Hornika skreślone piórem L. S. K. i Adolfa Czernego, stanowią zakończenie tego zeszytu.

W drugim p. Wład. Matlakowski mówi o pieśniach dziewcząt podhalskich przy międleniu lnu w październiku.

Z. A. K. przywodzi bajkę o furmanie. P. Seweryn Udziela obdarza nas opowiadaniami ludowemi ze Starego Sącza, a p. Karol Matyas baśniami p. t. „Z za krakowskich rogatek." P. Leon Lissowski opisuje obrzędy weselne w Szołajdach, pow. kutnowskim. P. Szczęsny Jastrzębowski mówi o szopce radomskiej.

Godny zaznaczenia art. p. B. W. Segela o chasydach i chasydyzmie. Chasydyzm powstał w XVIII st. Przywodców swoich, zwanych *cadykami* tj. sprawiedliwymi, uważają za cudotwórców. Oni modłami swojemi niweczą grzechy, przyczyniając się do udoskonalenia ludzkości. Chasydim, tj. pobożni, wyróżniają się od innych żydów pewnem zaniedbaniem w ubiorze. Naukę swoją opierają na kabale Izaaka Lurii (1537—1574) i ucznia jego, Chaima Vital-Calabresego († 1620 r.).

Ciekawa jest kronika geograficzna Wacł. Nałkowskiego. Geografia, zdaniem francuza Schradera, stała się dzisiaj niezależną od historyi, co wzrostowi nauk przyrodzonych zawdzięczać należy.

Dział „poszukiwań" nader urozmaicony. Godne uwagi są desenie na pisankach w Józwowie w p. lubelskim.

Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące, opracowane przez pp. Włodzimierza Bugiela, Nałkowskiego, H. Ł. i t. d.. Przegląd czasopism pióra pp. R. Lubicza, Szczęsnego Jastrzębowskiego, B. W. K. i innych.

P. Michał Żmigrodzki daje sprawozdanie z kongresu folklorystów w Chicago.

Zeszyt III zawiera dokończenie Juszkiewicza, „Wesele litwinów wielońskich" i Udzieli „Opowiadania ludowego ze Starego Sącza."

Zaznaczamy art. p. J. Karłowicza p. t. „Król Lear u nas." Z pracy tej dowiadujemy się, że podanie o ojcu trzech córek, z których jedna obdarzyła go powrozem, druga kamieniem, a trzecia najmłodsza chlebem, błąka się nietylko wśród ludu polskiego, ale i morawskiego. P. K. przytacza dwie odmiany pieśni polskiej na temat, który posłużył Shakespearowi do znanej kreacyi króla Leara. Jedna z nich jest z pod Brudnowa około Brwinowa, druga z Małej Dąbrowicy, (przy tem załączone są nuty). Piosenka morawska pochodzi ze zbioru Suszila. W tej właśnie pieśni znajdujemy rozwiązanie zagadki w postępowaniu trzech córek. Pierwsze dwie pieszczone przez ojca, dając postronek i kamień, kazały mu się wieszać i topić, trzecia zaś, bita przez rodzica w latach młodocianych, okazuje litość względem staruszka. Bicie więc, w po-

---

i wzdłuż rzeki postawili gęste straże. Już tam dwu rybakom czatować kazałem.

Głosy.

— Czy nam starczy oręży?

— Czy wyrównamy Moronom liczbą wojowników?

Gotar.

Trzeba natychmiast posłać do Kropów i kupić od nich wszystkie łuki, tarcze, oszczepy, miecze i włócznie, jakie wyrobili. Czy wyrównamy im liczbą? — pytacie. A jeżeli nie — to co? Czy mamy wtedy rzucić się w rzekę i z ciał naszych utworzyć na niej most, po którym by Moronowie wygodnie przeszli dla zrabowania osady? Czy może zechcemy okupić ich miłosierdzie przyjęciem dobrowolnej u nich służby? Kto do niej gotów—niech oświadczy. Nikt? Więc po co nam rachowanie głów własnych i nieprzyjacielskich? Gniew daje siłę, ale nigdy złodziej tak się nie gniewa, jak okradziony. Co nam zbraknie w ilości, to wynagrodzimy rozpaczą i zemstą.

W tej chwili rozległo się po za ścianami domu kilkakrotnie powtórzone wołanie: Tylonie, Tylonie!

Tylon.

Kto mnie wzywa?

Szybko wybiegł na zewnątrz i wkrótce powrócił całkiem przemieniony. Oczy płonęły mu złowrogim ogniem, a usta wykrzywił dziki uśmiech.

Aryos przysłał naszego strażnika z nad brzegu, ażebym przybył dla podzielenia się z nim wielką rybą, którą złapał w samym środku rzeki i której połowa, według zwyczaju, do nas należy. Idę i przyniosę wam tu całego rybaka.

Wyjechał.

Głosy.

— Co on zrobi?

— Moronowie go opadną i zabiją.

— To musi być jakiś podstęp.

— Trzeba pchnąć za nim naszych ludzi.

Gotar.

Doborze, wyjrzyj przez drzwi swoje na rzekę i zobacz, czy Arjos jest sam.

Dobor stanął na progu, spojrzał i rzekł.

Dobor.

Sam siedzi w czółnie. Tylon pędzi do niego, jak sokół do gołębia... Już jest na brzegu, odpiął łódź i płynie do Arjosa... Rozmawiają z sobą spokojnie... skierowali statki ku naszej stronie... dobili do lądu... wysiedli... idą..

Głosy.

Czy Arjos jest zuchwały, czy niewinny? — Tylon go tu sprowadza?

Dobor.

Na przeciwległy brzeg wysypała się gromada Moronów, którzy dają jakieś znaki i krzyczą. Tylon i Arjos już się zbliżają.

Gotar.

Czy mamy tu wpuście Arjosa?

Głosy.

Nie.

Gotar.

W tym domu przyjmowaliśmy obcych posłów, więc i jemu nie powinniśmy wzbraniać wstępu, jeśli przybywa z zamiarem godziwym.

Wszedł Tylon.

Tylon.

Arjos rzeczywiście złowił dużą rybę, której połowę chciał nam oddać. Gdy odmówiłem podziału zdobyczy z wrogiem i gdy mu powiedziałem, jak nieuczciwie nadużył mojego zaufania, odrzekł: Nieprawda, zatruto ci serce dla mnie. Pójdę z tobą i stanę przed moimi oskarżycielami: niech Mirowie ukarzą zdrajcę i zatrzymają u siebie wodza Moronów. Stoi tu przed domem; czy chcecie go słuchać i sądzić?

Głosy.

Tak.

Wszedł Arjos.

(D. c. n.)

jęciu ludu jest najdzielniejszym środkiem pedagogicznym. Oprócz tego, załącza p. K. dosłowny przekład tej powiastki z „Gesta romanorum" (wyd. Osterleya, 1872). Tutaj ojcem jest cesarz Teodozyusz. Najmłodsza córka za litość, okazaną wygnanemu rodzicowi, otrzymuje następstwo tronu, acz była żoną prostego hrabiego. Przy zakończeniu p. K. zwraca uwagę na odpowiednią literaturę tego przedmiotu.

P. Adolf Czerny w pracy p. t. „Istoty mityczne," utrzymuje, że prawa psychologiczne myśli ludzkiej są u wszystkich ludów jednakowe, czego dowodem mit o Prometeuszu, wykradającym ogień z niebios, znany nawet u ludów nie aryjskiego szczepu. Nowy ten kierunek o jedności praw psychologicznych zapanował w metodzie badań metodologicznych od czasów Edwarda Tylora (1871—1881) i Andrzeja Langa (1885—1887 r.). P. Karłowicz podziela zasady, wygłoszone przez folklorystów. Szkoła ta stanowi znaczny przełom w stosunku do badań Maksa Müllera (1856 r.), który metodę swoją opiera na porównaniu wyrazów, nazw itp., wywodząc początek mitologii od mowy ludzkiej. Apostołami kierunku Müllerowskiego nazwać można Adalberta, Kuchna, Afanasjewa i Schwartza. Tutaj załącza autor bogatą literaturę przedmiotu, dotyczącą Górnych i Dolnych Łużyc. Kobołcik z niem. Kobold (plattdeutsch: Kůbolt) odgrywa u łużyczan rolę bóstwa domowego, odpowiada on szotkowi czeskiemu, czajcza duchowi polskiemu (w okolicach Malborga) i krośniacie kaszubskiemu.

W zeszycie IV obok dalszego ciągu prac poprzednich i zwykłych rubryk, panna Kowalska podaje streszczenie dzieła Ottona Koopa, nauczyciela w Rogoźnie.

Ks. Adolf Pleszczyński utrzymuje, że bajka o młynarzu, synu jego i ośle, prawdopodobnie pochodzi z Indyi lub Arabii.

P. Jan Bystroń mówi o podaniach ludowych polskich, spokrewnionych z podaniami zbioru „Gesta romanorum."

P. Ignacya Piątkowska rozprawia o żebrakach w ziemi sieradzkiej. P. dr. Andrzej Ciuciała podaje przysłowia w Ks. cieszyńskiem. P. Z. A. K. obdarza nas „Kopciuszkiem," p. H. Sarnowska „Bajkami z Łowicza." P. Szczęsny Jastrzębowski przysłał do „Wisły" odmiankę podania o królu Learze ze wsi Malice w p. opatowskim.

Na czele tego zeszytu umieszczoną jest rycina p. Wojciecha Gersona, przedstawiająca włościan z okolic Maryampola, a w r. 1851 wykonana.

Nadmienić należy, że oprócz sprawozdań z dzieł i pism specyalnych, notowane są wszelkie nowości bibliograficzne, a nawet księgarskie, czego nie ma w żadnem innem czasopiśmie. Sumienność redakcyi zasługuje pod tym względem na zaszczytne wyróżnienie.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Gawalewicz, *Dusze w odlocie*. — Leopold Meyet, *Liście*.

Na ostatniej wystawie drukarskiej w Petersburgu jeden ze sprawozdawców obliczył, że większość tegoczesnych naszych wydawnictw, z powodu niesłychanej lichoty używanych dziś do książek materyałów, nie wytrwa nawet lat pięćdziesięciu, nie dochowa się do 1945 r. Wróżba z pewnością nie stosuje się do „Dusz w odlocie" Gawalewicza, ani do „Liści" Méyeta. Wszystkie one otrzymały, w edycyach wykwintnych i gustownych, nie tylko papier mocny, twardy, pergaminowy niemal, ale też i druk wyrazisty, czytelny, lubo w „Duszach" i „Liściach" nieco za drobny. Doczekają się one najniewątpliwiej nawet roku 1995, w którym obchodzić będą setną rocznicę swych urodzin.

Nie będziemy uczestnikami miłej tej uroczystości. Lecz czy nie moglibyśmy przynajmniej myślą i wyobraźnią sięgnąć w tamte czasy i przeżyć wespół ze swoimi prawnukami choć jednej z tych górnych chwilek, których im prawdopodobnie losy na długie lata nie poskąpią? Górnemi chwile owe będą w każdym razie o tyle przynajmniej, że z odległych ich wyżyn widzieć się dadzą wszystkie te warunki teraźniejszości naszej, w jakiej się my obracamy. Co dziś jest zakryte, uwikłane w tysiączne przypadłości powszedniego bytu, to się za lat sto wyklaruje, uwypukli i dokładnie wystąpi na jaśnię świadomości. Niefortunny tegoczesny recenzent, zniewolony poprzestawać obecnie przy ocenie dzieł na kilku formułach estetycznych, otrzyma wówczas jedno z najsilniejszych świateł rozpoznawczych: możność zestawienia dawnej wytwórczości umysłowej lub artystycznej z rzeczywistym stanem społeczeństwa, wśród którego ona powstała. Względnie do „Dusz w odlocie," albo „Liści," — przyszły krytyk będzie mógł nietylko określić, czem są one same w sobie, jako odblask wiekuistego piękna, ale też jeszcze wytknąć ich wartość społeczną, jako plonu usposobień i potrzeb ogólnych, pod których parciem zakiełkowały i urosły.

„Liście" najwięcej potrzebowałyby takiego oświetlenia okoliczności zewnętrznych, postronnych, nie w samym autorze, lecz dokoła niego złożonych. W ośmnastu fragmentach i szkicach, opracowanych z niezmierną starannością, najzupełniej prostych pod względem osnowy, wyszukanych i rzecby niemal można wycackanych pod względem formy, autor najwyraźniej całą swą usilność skierował ku temu, ażeby się odgrodzić i odżegnać od wszelkich kierunków i dążności bieżących, chwiejnych, niepewnych, które pod postacią czy to upodobań i skłonności osobistych, czy też widoków i prądów doktrynerskich, mają niby to zdobić, gdy właściwie szpecą tylko, jako róż i bielidło, czerstwe, dziewicze oblicze sztuki. W przyrodzie i duszy ludzkiej radby on podpatrzeć i podsłuchać tylko te odblaski, respektive odgłosy uśmiechów, dźwięków, łez lub westchnień, które mają nieco trwalszą i głębszą na płaszczyznach istnienia podstawę lub racyę objawu, jednocześnie zaś podniecają wrażliwość naszą problematycznością swoją. „Dusze ludzkie—powiada w jednem miejscu—bywają zamknięte w sobie i milczące jak grób, ciekawe jak nęcąca tytułem i treścią książka nieczytana." Zniewolić co milczące do przemówienia, zdjąć pieczęć z zamknięcia—to najbardziej górująca tendencya Méyeta. Żadnych od siebie dodatków, żadnych zachwytów, uniesień, utyskiwań lub żalów. Jest co jest—było ujęte i wyrażone być mogło w kształcie najmożliwiej zwięzłym, ścisłym, ociosanym i, że się tak wyrazimy, oskrobanym z naleciałości przybłędnych, subjektywnych—żądzy czy interesu. A jednakże, pomimo to, czy też dlatego właśnie, po każdem takiem odsłonięciu czy odczytywaniu zagadki tajemniczej, tajemniczość staje się jeszcze większą niżli była przedtem. Inkwirent nasz zmusił wprawdzie swojego zamkniętego i milczącego więźnia do rzetelnej i szczerej spowiedzi—ale rzeczowy stąd skutek wypadł jedynie taki, że wśród ciemności o wiele grubszych, zapytanie zasadniczo stało się nieskończenie jeszcze natarczywszem i ciekawszem od tego, jakie było na początku, przed rewelacyą. Autor wie zapewne, domyśla się, że im dalej na tej drodze, tem byłoby gorzej; najzwyklej przeto twardo i ostro urywa dochodzenie na pierwszym otrzymanym rezultacie... Sprawia to dziwne, niewysłowione wrażenie. Z po za podniesionych w ten sposób razy kilkanaście i zaraz wnet napowrót zatrzaśniętych okieniczek duszy ludzkiej, dają się widzieć, dają się słyszeć, gdy przegląd skończony, jakieś cienie, jakieś poruszenia niezwykłe, jakieś szmery zgłuszone—długie, jednostajne, niepokojące, jak ta nieśmiertelnie smutna a piękna pieśń poetki: „A kiedy sercu słońca nie staje, co kwiaty życia barwi ogniście, darmo się kwiecą łąki i gaje,—ono przez marzeń przesmętnych kraje idzie, rwąc liście... I gdy się innym róża rumieni, i lilia śnieżna dzwoni srebrzyście,—ono odchodzi w krainę cieni, z skargą tak cichą, jak gdy w jesieni skarżą się liście..." Co znaczą te ciche skargi? skąd się one biorą, dokąd płyną i po co?—Dowiemy się o tem być może dopiero za lat sto, gdy nad pokoleniem naszem dzieje wymotywować zdołają wyrok swój, równie zrozumiale i jasno, jak my wymotywowaliśmy już swe zdanie o końcu ubiegłego wieku.

Jeżeli Méyet nie może nam nic stanowczego powiedzieć o rzeczach tak błahych, tak powszednich, *dlaczego* to liście szumią i jęcząc zawodzą rzewnie, za to p. Gawalewicz potrafi nawet wyjaśnić, po co na tym świecie ludzie umierają. Umierają po to, aby wzajem się wspierać i dobre sobie świadczyć. Za życia, jak za życia — to znaczy, jak na wojnie: nienawiście, zasadzki, ciosy jawne i skrytobójcze; ale niech no starość, choroba lub klęska powalą nieubłaganych zapaśników na ziemię, zaraz harmonia niebiańska bierze ich w swe objęcia i pieści, ściska i przejednywa... Taką jest przynajmniej doktorska teza młodego lekarza, który w pamiętniczku swym, otrzymanym przez autora, również chyba w darze przedśmiertnym, zdaje przed sobą — a dziś i przed współbraćmi — egzamin ze wstępnych swych kroków na widowni praktyki. Na pierwszej zaraz stronicy, od pierwszego słowa pamiętniczka, czytamy: „Mogę sobie powinszować — jednego dnia trzech pacyentów..." I co za szczególne zrządzenie celowości opatrznej, czy też Opatrzności celowej! Trzej owi pacyenci, pukający w jednym i tym samym dniu do drzwi jednego i tego samego lekarza, są sobie potrzebni, są sobie niezbędni. Nic bez tej trójcy. Kona dziecko ubogie, sierota bez ojca, chłopczyna noszący w sobie wiarę bożą zdolności muzycznej. Ocala go lekarz — i nie dość że ocala, lecz mu zapewnia środki dalszego kształcenia się na drodze wrodzonego powołania. Skądże te środki? A właśnie dla ich to wyłowienia zamiera w samotnej stancyjce drugi pacyent: starzec stetryczały, zawiedziony, zrażony; z namowy, a raczej w następstwie umiejętnego przyczyniania się lekarza, pozostawia on zaoszczędzony swój kapitalik Jankowi Muzykantowi — i wtedy dopiero opuszcza ten padół płaczu. Jakto, bez jednego jedynego, bez ostatniego promyka pociechy światowej? Ależ nie: jest trzeci pacyent: dogorywająca suchotnica, córka kobiety, którą starzec niegdyś kochał i która wyszła za jego dawnego przyjaciela. Fotografia dziewczęcia, przypominająca wizerunek nieboszczki jej matki i odwiedziny starego druha — z tego się złożyła przedzgonna ziemska nagroda dla dobroczynnego starca... Wyznajemy chętnie: Gawalewicz tą swoją nowelą trafił nam w zupełności do serca, ale wcale nie do przekonania, które snadź w punkcie poglądów najogólniejszych na bieg spraw ludzkich pod innymi wpływami kształciło się i rosło. Składając tedy hołd pięknemu, czystemu, potoczystemu stylowi autora, wyrażamy zarazem najgorętsze pragnienie, aby w dzień stuletniego jubileuszu „Dusz w odlocie" — a dużo dusz zacnych i wspaniałomyślnych do tego czasu odleci i wysoko testamentami swymi globę naszego żywota podniesie — wyrok potomności, pod względem pomienionej różnicy przekonań, tak się sformułował: nie Tokarzewicz, tylko Gawalewicz miał słuszność, skoro dziś wiemy i widzimy dokładnie, że śmierć i życie nie są wyrazem śle-

pej walki żywiołów bezdusznych, ale wiekuistem wyrównywaniem się grud i niezgodności przyrodzonych pod zagon wspólnego dla wszystkich dobra, pod siejbę uszczęśliwiającego wszystkich braterstwa...

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Kilka „poważnych słów“ p. Rydygiera.—Akademia.

Przyznać się godzi, że nawet podróżnika, zbliżającego się ku Krakowowi uderza pierw światło promiennej aureoli, zanim się znajdzie w samem mieście pomników i grobów.“ W ten, ...cie niedołężny sposób, ś. p. Józef Łep... w „Przeglądzie krakowskich legend, tradycyj, nabożeństw, zwyczajów it. d.“ usiłował rozczulić tych, którzy dotychczas jeszcze chełpią się zwycięstwem, ...niesionem niegdyś przez gęsi kapitolińskie. Z Kapitolu pozostały gruzy, w grobach legł zdrowy rozsądek—tylko krzykliwe gąsiory rozbiegły się po świecie, napełniając każdy zwietrzały zakątek ostrzegawczem gęganiem. Ponieważ zaś taktyka zbawców Rzymu niejeden i w późniejszych czasach święciła tryumf, ponieważ nadto mądrość ludów orzekła, że „tylko powodzenie zwycięża,“ więc kult dla przemyślnych ojców - ptaków wyrodził w potomkach ich wiarę w gęsie przestrogi a w tem samem miłość dla... tradycyj.

Prof. Rydygier postanowił rzec kilka słów „poważnych“ w sprawie dopuszczania kobiet do studyów lekarskich. Albowiem jest to po pierwsze sprawa modna—prof. Rydygier hołduje zaś modzie zawsze i wszędzie; powtóre jest pilna, a po trzecie—bliska. Zasadniczo równouprawnienie kobiet z mężczyznami jest *nonsensem*, bo się sprzeciwia odwiecznym prawom natury, bo tak już w całej przyrodzie Pan Bóg rzeczy ułożył, bo pan Rydygier posiada majątek ziemski Mydlniki, w Mydlnikach zaś słowik śpiewa i przynosi samicy ... Ergo, pan profesor w równouprawnienie uwierzyć nie może. Prosimy, aby nas nikt nie posądził, że dowodzenia te wypisujemy z jakiejś kroniki średniowiecznej; zapewniamy bowiem, że p. Rydygier rzekł ... kilka słów poważnych w lutym r. 1895. Idźmy dalej. Zatrudnienia „męskie“ mają zaszczyty, godności obok znaczniejszych dochodów—a więc wara od nich kobietom! Na tem wyczerpuje się kwestya „zasadnicza“ i każdy przyzna, że słusznie. W kwestyi specyalnej p. Rydygier stwierdza, że jest u nas dość lekarzy, że więc lekarki ze względów na owe znaczniejsze dochody—przywileje zawodów męskich—są zbyteczne.

P. Rydygier „przeprasza bardzo,“ że i zawody kobiece są przepełnione, ale tu odwołuje się do uporządkowania całej przyrody. „Tak już raz jest na świecie, kobieta jest skazana na dom i na tem opiera się cały nasz dla niej szacunek!“ Nie wszystkie kobiety wychodzą za mąż—ale według statystyki p. Rydygiera, nie wychodzące stanowią mały odłamek społeczeństwa. Dla wyjątków zaś nie zmienia ... porządku uświęconego wiekami. No, naturalnie! Jeżeli przypuśćmy na uniwersytecie krakowskim panuje zwyczaj wyznaczania z góry katedr jednostkom uprzywilejowanym, jeżeli wydałoby się nam dziwnem, że siostrzeniec profesora X., objawiający zdolności, dajmy na to, kuglarskie, nie został profesorem, lecz kuglarzem, natomiast nie dziwilibyśmy się, gdyby mający zdolności i zasługi naukowe, zwykły śmiertelnik Y po wielu latach asystentury otrzymał intratną posadę inspektora świeżego powietrza,—to jakże przypuścić, że dla wyjątków należałoby zmieniać zwyczaje uświęcone? Byłoby to conajmniej—rozumne, ten walor zaś na kapitolu nie może mieć obiegu. Lecz wracajmy do rzeczy. Kobiety ani fizycznie, ani umysłowo do zawodu lekarskiego nie dorosły. Przyzwoitość nie pozwala im się uczyć chirurgii, chorób wenerycznych itp.; że zaś w medycynie trzeba znać wszystko, więc p. Rydygier... konkurencyi sobie nie życzy. Słusznem i dobrem jest, aby kobiety poddawały się badaniom lekarzy-mężczyzn, ale rzeczą niesłychaną jest, aby kobieta leczyła górala lub wieśniaka. Mówi ona, że dla uniknięcia współzawodnictwa z Rydygierami osiadać będzie na wsi lub na powiecie. I to jest absurd. „Bo pocóż taki niby-lekarz zajmuje miejsce i przeszkadza, żeby się tam osiedlił—choćby nie zaraz, to z czasem może—lekarz rzeczywisty (jest to określenie naukowe dla mężczyzn - lekarzy). Widzimy wszakże, iż w miarę przepełnienia miast większych przez lekarzy, udają się oni do wiosek i miasteczek.“ W najgorszym razie niech ludzie umierają, niech się zarazy szerzą, niech... jeżdżą do Krakowa, do p. Rydygiera; albowiem lepiej, jeżeli niema żadnego lekarza (ntb. lepiej dla pewnych znacznych dochodów, o czem nikt nie wątpi) niż, żeby był lekarz-bastard.

Może między czytelnikami *Prawdy* jest jakiś naiwny, któryby sądził, że kobieta nadaje się do położnictwa? Przedewszystkiem trzeba do tego siły fizycznej, a powtóre władz umysłowych takich, jakiemi szczyci się szanowny profesor. Oto np. proszą cię, zaklinają, abyś skrócił cierpienia chorej. „Trzeba całej stałości męskiego charakteru, aby się pokusie oprzeć; najlepiej jest pojechać natenczas z mężem na polowanie i zabawić na niem, póki się wszystko prawidłowo nie skończy.“ Czy na bohaterstwo takie zdobędzie się kobieta? Wytrwałą ona jest jedynie w siedzeniu—a więc daje nieoceniony nabytek dla pracowni bakteryologicznych, histologicznych i chemicznych. Ale że siedzieć potrafi też wykwalifikowana posługaczka — a więc i w pracowniach takich dla specyalistek zajęcia nie ma. „Precz więc z dziwolągiem kobiety-lekarza! Niech nam i nadal słynie chwała kobiet naszych, którą tak ładnie głosi poeta!“ Pan Rydygier lubi bowiem poezyę i podoba mu się nadzwyczajnie wiersz Schillera: „Ehret die Frauen.“ który obrał za motto do swoich wywodów „naukowych“:

„Ehret die Frauen: sie stricken und weben
Wollene Strümpfe für's irdische Leben.“

O tak, pończochy wygodną są rzeczą i p. Rydygier nie ma za co przepraszać, chwaląc uświęcony porządek społeczny i opierając na... pończochach szacunek swój dla kobiety.

Wiemy, że bieda wygląda u nas wszystkiemi dziurami, staramy się atoli w ten sposób drapować łachmany, aby prócz nas nikt ich nie widział. Nazywa się to w języku nowoczesnym blagą. Niepodobna nie mieć uznania dla tych, którzy usiłują oznaczyć rzecz właściwem jej imieniem, o dziurze powiadają, że jest prostą dziurą i szukają ręki, którąby ją załatała. Od p. Stanisława Smolki, generalnego sekretarza Akademii krakowskiej, dowiadujemy się, że instytucya ta jest pełną dziur i że rozsypie się na strzępy, jeżeli jej społeczeństwo nie poratuje. Według p. Smolki, pomyślny rozwój Akademii zależy od gorliwości członków i poparcia ogółu. Po założeniu jej wyznaczono w roku 1873 ze Skarbu Państwa zapomogę roczną w kwocie 12,000 złr. W następnym roku Sejm udzielił jej 10,000 złr. Sumy te stanowią właściwie materyalną podstawę Akademii, która nie posiada niemal żadnego własnego majątku; dom bowiem odziedziczony po dawnem Tow. naukowem krakowskiem, nie wystarcza już dziś na pomieszczenie biur, zbiorów i składu wydawnictw; fundusz zaś ulokowane są w zakładzie zdrojowym Szczawnica, z którego Akademia nie ma dotąd żadnych dochodów. Tak tedy dary rządowe i krajowe, zapomoga miasta Krakowa w kwocie 500 złr. rocznie, odsetki od funduszu żelaznego i pomniejsze ofiary jednorazowe, nie przekraczające 1,000 złr. składają się na kapitał obrotowy, z którego opędzane są wszelkie wydatki administracyjne i naukowe. Zasiłek rządowy podwyższono do wysokości 16,000 złr., krajowy do 31,500 złr. rocznie. Panuje tedy powszechne mniemanie, że instytucya, rozporządzająca rocznie kwotą 50,000 złr., jest dostatecznie wyposażoną. P. Smolka usiłuje mniemanie to usunąć. Dowodzi, że rażący stosunek między ogromem zadań, ciążących na Akademii, a ubóstwem jej środków, wytwarza wśród najczynniejszych członków zniechęcenie; że coraz bardziej mowią o potrzebie powrotu do zakresu działania skromnego Towarzystwa naukowego; że mimo zaprowadzonych oszczędności, obcięcia wydatków administracyjnych o 1,100 złr., mimo zmniejszenia wynagrodzeń członków zarządu, budżet Akademii jest opłakany. Dla poprawienia go podano projekt likwidacyi zbiorów naukowych; ale bibliotecznych, antropologiczno-archeologicznych i fizyograficznych niema komu powierzyć. Ponieważ jednak zbiory te mnożą się i obecnie już pomieszczenie ich nie daje rękojmi bezpieczeństwa, więc trzebaby przebudować gmach Akademii, na co potrzebnym jest fundusz 12—15.000 złr. Budżet, zdaniem p. Smolki, należałoby ułożyć w ten sposób, aby sumę, przypadającą do rozdziału oddać na wyłączny użytek trzech wydziałów Akademii (matemat.-przyrodniczy, filologiczny i historyczno-filozoficzny) a dopiero oszczędnościami, jakie wykażą się w końcu roku, wyposażyć na rok następny komisye. W tym razie atoli bez nadzwyczajnej pomocy wypadłoby zawiesić na jeden rok wszystkie czynności siedmiu stałych komisyj Akademii. Ponieważ zaś na potrzeby ich Akademia wyznacza obecnie 20,000 złr., więc tylko zasiłek tejże wysokości jest możliwy. Słowem trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy. Może wezwanie p. Smolki nie przebrzmi bezskutecznie i może krawiec Curzydło, który zapisał Akademii majątek 40,000 złr., przeczytawszy, że „mają dużo do drukowania, lecz nie mają funduszów“, znajdzie naśladowców i wśród nie-krawców.

Ferropar.

OFIARY MACIERZYŃSTWA.

Mimo rozwoju medycyny, udoskonalen i postępów w środkach pomocniczych, antyseptyce między innemi działu akuszeryjnego, akt t. zw. „rozwiązania“ stanowi dotychczas granicę między życiem a śmiercią; ofiary, ginące bez ratunku, są dziś jeszcze tak liczne, że doprawdy dziwić się należy pogodzie i odwadze tych kobiet, które nowe życie w swem łonie noszą lub gorąco pożądają macierzyństwa. Heroizm taki przypisać chyba trzeba tej samej wyższej sile, która stwarza we wszelkich istotach instynkt samozachowawczy, jako źródło podtrzymania i rozwoju gatunku. Prawo to każe zapominać kobiecie o tem, że wydawszy nowe życie—własne może mu oddać w ofierze. Ciągłej i dokładnej statystyki w tym zakresie nie mamy, ale fakty luźne wykazują wielką śmiertelność z gorączek połogowych, we wszystkich warstwach, od nędzarzy do bardzo zamożnych, więc i śród

tych, którzy mogą tysiące poświęcać na doskonałą pomoc lekarską, zastosować wszelkie niezbędne środki hygieny i ostrożności. Rzecz prosta, iż w sferach zamożnych mniej bywa wypadków zakażenia niż śród ubóstwa. Ofiary macierzyństwa podlegają wszakże nietylko śmierci, lecz i chorobom nieuleczalnym. Te ostatnie dają największy procent, bo według świadectwa lekarzy, przynajmniej połowa kobiet w warstwach pracujących, po porodzie skazanych jest na wieczne i ciężkie kalectwo, skutkiem niesumienności lub wprost nieumiejętności akuszerek i tak zwanych babek wiejskich. Ale nietylko ten czynnik gra tutaj ważną rolę. Przyjrzyjmy się młodym matkom z suteren i poddasza. Z kwitnących zdrowiem i wiosenną młodością, po jednym lub dwu porodach przedstawiają już smutny obraz starości i ruiny. Twarz zwiędła, żółta, pomarszczona, piersi i policzki zapadłe, kości wystające. Z takich organizmów niemowlę wysysa resztki sił, liczne potomstwo zabiera w końcu życie matki a w spuściznie otrzymuje charłactwo. Przyczyny tak smutnego stanu rzeczy łatwo odnaleźć w warunkach bytu położnic. Jakiś reporter niedawno dla rozweselenia swych czytelników podał „zabawną nowinę.“ Oto panna młoda, małżonka stróża, po powrocie z obrzędu ślubnego powiła niemowlę, podczas przygotowań weselnych i zamiast położyć się do łóżka, obsługiwała rozbawionych gości w dalszym ciągu. Na pozór bajeczny fakt „wytrwałości,“ bywa w życiu więcej rzeczywistym niż zabawnym. Położnice we dwa lub trzy dni po porodzie biorą się już do pracy ciężkiej, a po wsiach do zwykłych należą wypadki porodzenia lub poronienia przy żniwach i następnie powrót chorej o własnych siłach do domu. To jest jedna z dziedzin, nietkniętych przez naszą mizerną statystykę, pomimo że fakty w oczy się rzucają na każdym kroku, że trzeba być bardzo nawet słabym obserwatorem mimowolnym, ażeby dostrzedz to smutne zjawisko, którego skutków dotąd jeszcze nie obliczyliśmy. Charłactwo śród matek szerzy się, zabija w nich energię i młodość, zabiera siły i uboży społeczeństwo w sposób okropny. Nie dość bowiem, że śmierć sieje spustoszenie, że macierzyństwo wytwarza setki tysięcy kobiet schorzałych, wyczerpanych, ale daje nędzne nieodporne nowe pokolenie, a więc mało lub wcale nieprodukcyjne.

Gdzież się mieści samo jądro złego?— Przedewszystkiem i głównie na prowincyi—w braku zdolnych i sumiennych akuszerek, zamiast których cieszą się wielką praktyką „babki,“ brudne i niedbałe. One to przyprawiają o śmierć i kalectwo położnice. Oczywiście obok tego zjawiska, możliwego do uniknięcia, jest inne, zarówno w miastach, jak i na wsi: — warunki materyalne, które nie pozwalają matce bezczynnie przebyć choroby i rekonwalescencyi, szczególnie tam, gdzie w gospodarstwie stanowi ona ważną siłę roboczą, lub w rodzinach wyrobniczych, gdzie bardzo często żona swoją ciężką pracą utrzymuje męża i dzieci. Co za dziwny sarkazm losu!—gdy w sferach ukształconych kobiety upominają się o szersze przywileje, w warstwach ubogich i ciemnych czują one cały ciężar tych „przywilejów“ przez warunki ekonomiczne narzuconych. Weźmy np. obrazek życia miejskiego. Mąż wyrobnik, czy czeladnik, zarabia przeciętnie 50, 60, w najpomyślniejszych chwilach 75 kop. dziennie, co przy odliczeniu niedziel i świąt uczyni rs. 13—19 miesięcznie, z tego trzeba opłacić komorne, światło, opał, kartę pobytu, podatek szpitalny, utrzymać żonę, czasem jakąś starą, niedołężną osobę, troje, czworo i więcej dzieci, sprawić im ubranie, bieliznę, obuwie, do tego bardzo często doliczyć trzeba aptekę i lekarza. Rzecz prosta, że nawet dochód podwójny nie wystarczy na to. Nie zapominajmy wszakże, iż w wielu wypadkach wchodzi do budżetu inna, najstraszniejsza rubryka: szynk. Zobaczmy, z jakim niepokojem i pognębieniem biedne wymizerowane kobiety stoją na tych fatalnych rogach ulic, aby zagrodzić mężom wstęp do miejsc zguby i poniewierki, jak starają się odciągnąć ich od kolegów i wybłagać chociaż część zarobku tygodniowego na utrzymanie rodziny. Nie zawsze to im się udaje, nie każda niesie do domu kwotę, łzami lub rozpaczliwą natarczywością zdobytą. Dodajmy, że wyrobnik taki często parę miesięcy co rok bywa bez zajęcia, a będziemy mieli cały obraz tych warunków, w jakich kobieta na podścielisku ekonomicznem staje się „głową“ rodziny, dzieli swe siły między zajęciem domowem a różnorodną pracą zarobkową. Najczęściej zajmuje się ona posługą i praniem. To ostatnie o tyle jest wygodne, że daje się nawet w nocy robić, lecz zarazem o tyle szkodliwe, że obok nasycania powietrza zabójczymi wyziewami w szczupłem mieszkaniu, rujnuje zdrowie pracownicy. Przy takim stanie rzeczy, gdy mężczyzna nieraz wypoczywa z braku zajęcia, kobieta nie ustaje w pracy forsownej i nie zna wypoczynku nawet jako położnica. W zakładach fabrycznych prawodawstwo europejskie zwróciło uwagę na szkodliwość pracy kobiet ciężarnych i dało im pewne ulgi w chwilach choroby i rekonwalescencyi. U nas także prawo fabryczne bierze w opiekę takie kobiety, mianowicie z kar pieniężnych tworzy się fundusz, przeznaczony między innemi na wsparcie robotnic w ostatnim okresie brzemienności, które przerwały pracę na dwa tygodnie przed rozwiązaniem. O tyle więc kobiety pracujące w fabrykach mają wyższość nad wyrobnicami. To jest strona warunków najtrudniejsza do zmiany a nawet złagodzenia.

Jest jeszcze jeden czynnik: brak szpitalów właściwych i dobrze zorganizowanej w nich pomocy lekarskiej. Brak ten dotkliwie daje się odczuwać nietylko na prowincyi, ale i w Warszawie. Są tutaj, oprócz bardzo szczupłego zakładu na rogu Marszałkowskiej i Zgody, przytułki, każdy na trzy, cztery chore i tak zwane „pokoje dla osób oczekujących słabości“ z „dyskrecyą zapewnioną“. Do tych schronień na czas choroby udają się przeważnie nie mężatki, lecz te, które muszą ukrywać swoje macierzyństwo. Wogóle bowiem nie tylko w sferach oświeconych, lecz i śród ciemnych panuje u nas przekonanie, że szpital, to ostateczność, w którym mogą znaleźć schronienie tylko na śmierć skazani lub znalezieni na ulicach. Dla tego to tak wstrząsające robi wrażenie w rodzinie gdzie jest chory, wyrok lekarza: „oddać do szpitala!“ Posłuchajmy, w jaki sposób dr. Zygmunt Kramsztyk stara się wzbudzić zaufanie ogółu do tych instytucyi: „Przedewszystkiem lękają się ludzie, że choroby wogóle w szpitalach cięższy mają przebieg i gorzej się kończą. W dzisiejszych czasach ten pogląd stanowczo jest niesłuszny. To, co chorobami szpitalnemi nazywają, zdarza się dziś częściej w mieszkaniach prywatnych; a znikną te choroby ze szpitala zupełnie, gdy nowe gmachy odpowiednio będą urządzone. Zarzucają dalej, że w szpitalach bada się chorych, nie leczy, że się doświadczenia dokodywa nad nimi. Ale lekarz w badaniach swoich obejmuje przedewszystkiem leczenie i chory tem skuteczniej jest leczony im pilniejszą zwraca uwagę na siebie. Ten zarzut to raczej pochwała. Przypuszczają z drugiej strony, że mniej uważnie są traktowani chorzy w szpitalu, że są zaniedbani. Zaprzeczą ci, którzy się leczyli. Niech lekarz ma oddział odpowiedni, niech ma w nim możność badania i obok siebie młodych uczniów i pomocników, to z pewnością chory w takim oddziale niemniej uważnie i skutecznie będzie leczony niż w najlepszych warunkach praktyki prywatnej. Uprzedzenia względem szpitali należą do najmniej uzasadnionych i najszkodliwszych. Wszystkie istotne wady pochodzą z niedostatecznego ich uposażenia.“ *)

To samo mniej więcej można powiedzieć o uprzedzeniu ogółu względem zakładów położniczych. Co do większości owych „pokojów“ i przytułków, nieufność jest uzasadnioną, chociażby z trzech najważniejszych powodów: szczupłości lokalu, braku dostatecznego dozoru lekarskiego i usługi. I do tych jednak licznych zakładów wstęp bywa trudny skutkiem przepełnienia; zdarzały się wypadki porodzenia na schodach, lub pod murami szpitalnymi. Otóż dla zmniejszenia ofiar macierzyństwa należałoby stworzyć wzorowe obszerne szpitale zarówno w Warszawie, jak i wszystkich miastach i miasteczkach prowincyonalnych, a nawet po wsiach, gdzie przeznaczenie na ten cel jakiejś jednej chaty nie byłoby kosztowne. W Anglii położnice nawet ze sfer względnie dostatnich chętnie udają się do takich zakładów, bo wiedzą, że tam znajdą stokroć większe wygody i opiekę niż w domu, rękojmię bezpieczeństwa, przytem stworzą w budżecie domowym znaczną oszczędność i nie będą zamętu czynić w pracy członków rodziny. U nas, gdyby powstały wzorowe szpitale tego rodzaju, niewątpliwie ogół poczułby z czasem zaufanie do nich i ocenił ich doniosły pożytek. W ten sposób niejedna matka ocaliłaby sobie życie i zdrowie, a jej rodzina—znaczne sumy, wydawane na akuszerki i późniejszą przewlekłą kuracyę.

Wraz z urządzeniem odpowiednich zakładów leczniczych niezbędne jest zwiększenie służby zdrowia w tym zakresie i podniesienie poziomu jej uzdolnień. Niedawno w kaukazkiem Towarzystwie lekarskiem roztrząsano sprawę akuszeryi w całem państwie i wywnioskowano konieczność reformy, której podstawą między innemi powinno być podwyższenie poziomu umysłowego pracownic tej dziedziny i zwiększenie liczby instytutów położniczych. U nas przy klinice akuszeryjnej uniwersytetu warszawskiego istnieje taki niby instytut z kursem dwuletnim. Ale stwierdzono, iż z każdym rokiem dostarcza on coraz mniej uzdolnionych specyalistek chrześcijanek, natomiast wzrasta liczba starozakonnych, przybyłych z Cesarstwa skutkiem tego, że tam przyjmują na naukę tylko 10% żydówek. Po uzyskaniu więc patentu tutaj, wyjeżdżają one tam, skąd przybyły lub dalej, Królestwo zaś najmniej ma pracownic z własnego ogniska wiedzy fachowej. Instytut warszawski posiada jeszcze szkołę babek wiejskich z kursem czteromiesięcznym dla 15-tu uczenic. Kandydatek zawsze tu jest pełno, to też przeciętnie wychodzi z tego zakładu 60 specyalistek rocznie, które mają prawo praktykować tylko po wsiach. Często jednak omijają one ten przepis i podszywając się pod miano akuszerek, osiadają w miastach, podejmują się niesienia pomocy nawet w wypadkach ciężkich. Oprócz więc szkodliwego współzawodnictwa dla rzeczywistych akuszerek (które korzystając z nauki specyalnej na mocy świadectw najmniej progimnazyalnych, wyłożyły więcej energii, kosztów i czasu na swe wykształcenie), wyrządzają one krzywdę chorym, narażają je na śmierć lub utratę zdrowia. Nowa zatem organizacya nauki akuszeryjnej jest niezbędna i pilna.

Ponieważ urządzenie osobnych instytutów pochłonęłoby znaczne sumy, więc należałoby użyć sposobu o wiele tańszego i praktyczniejszego, który zgadzałby się z ogólną myślą wzmocnienia służby zdrowia w całem państwie. Właśnie do programu przyszłego zjazdu lekarzy im. Piro-

*) Z. Kramsztyk: „O znaczeniu szpitali.“ Warszawa, 1893.

gowa w Kijowie włączono wniosek, zalecający uprzystępnienie kobietom, na równi z mężczyznami wydziału medycznego we wszystkich uniwersytetach rosyjskich i nadanie im następnie wszelkich przywilejów służbowych. Przytem należy uwzględniać patenty z gimnazyów żeńskich, instytutów i innych szkół bez egzaminów dodatkowych z języków klasycznych. Projektodawca zaleca takie środki, które nie pociągnęłyby nawet kosztów ze strony rządu na urządzenie oddzielnych kursów żeńskich, a profesorowie mieliby zwiększone płace w postaci honoraryum od studentek za słuchanie wykładów. Byłaby to więc jednocześnie najprostsza droga reformy w wykształceniu akuszeryjnem. Kobiety, chętne do pracy, zajęłyby wszelkie posterunki, gdzie dziś szerzy się bezkarnie partactwo, wyzysk i niedbalstwo, zabierające liczne ofiary. Obecne „babki," z prawem akuszerek po czteromiesięcznej praktyce w klinikach, zeszłyby do roli posługi szpitalnej przy zdolnych i należycie wykształconych specyalistkach. Takie wszakże zwiększenie personelu lekarskiego bez wzmocnienia we wszystkich miejscowościach państwa pomocy szpitalnej, nie przyniesie pożądanych owoców. Przytułki dla położnic z zachowaniem wszelkich warunków hygieny i zaopatrzeniem w niezbędne środki ratunku, dałyby się urządzić względnie małym kosztem, do którego samo społeczeństwo chętnie przyłożyłoby ręki. W ten sposób nie zubożyłoby się ono, lecz przeciwnie — przysporzy sobie bogactwa w postaci silnych i zdrowych organizmów matek i ich dzieci. Takie tylko środki zaradcze mogą znacznie zmniejszyć klęskę, pochłaniającą liczne ofiary macierzyństwa.

Zenon Pietkiewicz.

BRONISŁAW CHRZANOWSKI

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

W ubiegły wtorek zakończył życie nasz współpracownik Bronisław Chrzanowski, którego artykuły estetyczno-krytyczne czytelnicy zapewne jeszcze świeżo mają w pamięci. Młodzieniec zaledwie dwudziestosześcioletni, walczył ostatnich parę miesięcy ze straszną chorobą: ropnem zapaleniem krzyża na tle gruźlicy. Nosząc w sobie oddawna zarodki cierpienia, starał się zapanować siłą psychiczną nad charłactwem cielesnem. Umysł jego obiecywał wielkie zdolności, ale twórczość duchowa nie mogła zbyt mocno i bezkarnie rozgościć się w lichej lepiance fizyologicznej. Po paru latach pracy gorączkowej, wypuścił pióro z ręki. Dodajmy, że ten człowiek skołatany, całe swe istnienie oparł na twórczości literackiej, która ciągle się rwała skutkiem wyczerpania fizycznego. Niech więc mu będzie lekkie łono tej ziemi, która za życia oprócz cierpień i łoża szpitalnego, nic mu więcej nie dała.

PAMIĘTNIK.

Znowu bieda i znowu etyka.

Elegia ziemiańska, która zresztą brzmi w całej Europie, odzywa się u nas ciągle coraz mocniejszymi tonami. Dotychczas najmniejszy w niej udział przyjmowali właściciele gruntów wysokiej wartości przyrodzonej i kulturalnej. Mogli oni bowiem uprawiać na nich rośliny dobrze opłacające się, a jeżeli nawet pozostawali przy zbożu, większa jego plenność wynagradzała im po części niskie ceny. Ma to swoje znaczenie, gdy przy tych samych warunkach i nakładach produkcyi otrzymuje się 10 ziarn zamiast 3 lub 5. Ale i do tych ułaskawionych nieco przez los przyszła również bieda. Cukrownicy dla podtrzymania cen swego towaru nie poprzestali na syndykacie i wywożeniu nadmiaru za granicę, lecz postanowili zmusić plantatorów buraków do ograniczenia uprawianych przestrzeni i przyjęcia niższych norm zapłaty. Naturalnie to wielu majątkom obcięło znacznie dochody i postawiło je w położeniu podobnem do tego, w jakiem się znajdują rolnicy wyłącznie zbożowi. Stąd nowe kłopoty i skargi. Wprawdzie nikt złemu nie umie zaradzić, ale przynajmniej nikt nie probuje go leczyć środkiem najzawodniejszym a najczęściej u nas stosowanym w chorobach ekonomicznych — etyką. Szacowny to środek, a chociaż często fałszowany i zanieczyszczony domieszkami trującemi, bodaj by go ludzie spożywali jak najwięcej i jak najczęściej. Niestety, jednakże życie wytwarza stosunki, w których on wcale nie działa. Daremnie mówilibyśmy o moralności dwu wagonom, które uderzywszy o siebie, zgniatają biednego robotnika między swoimi buforami. Daremnie odwoływać się będziemy do handlującego węglem kamiennym, ażeby go rozdarowywał ubogim, którzy marzną z zimna. Daremnie w tysiącu innych wypadkach chcielibyśmy rachubę interesu zastąpić miłosierdziem lub wspaniałomyślnością. Po tych sentymentach konieczność przejdzie brutalnie i zdepcze je swojemi nielitościwemi stopami. Przekonywają się o tem bardzo często nasi ziemianie. Gdy w walce o byt znajdą się bezbronni, mniemają, że w ostatniej chwili stanie po ich stronie etyka, honor i inne idealne siły, które ich osłonią przed porażką. Tymczasem owe moce objawiają swą potęgę tylko szumem anielskich skrzydeł. Jednego z ziemian powiatu grójeckiego opuściła cała służba. Nie mogąc pozyskać innej, ogłosił wezwanie w *Zorzy*. Za to otrzymał naganę w dzienniku, strzegącym etyki obywatelskiej. Cóż miałem począć? — pyta on zdumiony. „Czy prosić mojej dotychczasowej czeladzi i podnieść jej płacę, aby raczyła u mnie dalej pozostać? Nie, taka proszona służba jest najgorsza, pracuje z łaski, o wszystko się obraża, nie da sobie nic powiedzieć, na jej złe postępowanie muszę patrzeć przez szpary, a za najlżejszą wymówką odchodzi. Więc mam posyłać mojego ekonoma, karbowego lub pisarza do sąsiednich wsi, aby werbowali i odmawiali ludzi od moich sąsiadów? Byli tacy, którzy się tej ostateczności chwytali, obiecując ludziom złote góry, ale czy to rzecz honorowa, czy to godziwe i zgadza się z poczuciem szlachectwa i etyki? Więc co? Wszak bez ludzi do obrządku koni, bydła, owiec i trzody obejść się nie mogę, a krowy kto mi będzie doił? Do służby nikt się nie zgłasza (jest to pierwszy wypadek, jaki mi się wydarza w ciągu mojej długoletniej pracy w zawodzie rolnika). Jadę tedy po chałupach licznych w koło mnie nowych kolonij: Nowego Prażmowa, Nowej Woli Prażmowskiej, Aleksandrowa itp., potworzonych wskutek zamian serwitutowych. Zastaję w nich w jednej izbie mieszczących się nieraz po siedem osób płci i wieku różnego, zdatnych do roboty. Namawiam, proszę, błagam, a na to wszystko otrzymuję odpowiedź: „Nie ma głupich!" To znaczy: kartofle mamy po 50 kop. korzec, żyto po 2 rs. 50 k., mamy Bogu dzięki taniość, więc co za niewola pracować?" Ale to usprawiedliwienie nie przekonało i nie wzruszyło surowego dziennika. Ogłaszanie wezwań w pismach ludowych — powiada on — równa się niemal odmawianiu czeladzi sąsiadom, bo chociaż ona nawet nie powędruje z jednej okolicy w drugą, to przeczytawszy korzystną ofertę, podniesie swe wymagania lub podziękuje panu za służbę. Ale ostatecznie co ja mam zrobić? — woła stroskany ziemianin. „Jest to kwestya, godna zastanowienia się filantropów (?) i ekonomistów, a w szczególności sekcyi rolnej — odpowiada mu dziennik. Zanim jednakże tam radykalne znajdzie się lekarstwo, sądzę, że radząc sobie w trudnem położeniu, obywatele ziemscy powinni użyć takich środków, które istotnie prowadzą do celu, a drugim nie szkodzą i nie powiększają ogólnego zła (np. sprowadzać robotnika z okolic licznie zaludnionych). Niech mi autor tej rady daruje szczerość, ale gdyby on kupcowi, niemogącemu pokryć weksłu w terminie, wskazał jako ratunek Bank angielski, gdzie jest natłok kapitałów, wyświadczyłby mu dobrodziejstwo równe temu, na jakie w tej sprawie się zdobył. Powiedzieć właścicielowi folwarku, którego służba nagle opuściła, który sam przecie nie obrobi pola, nie nakarmi bydła, nie wywiezie nawozów itd., że on „ma kwestyę, godną zastanowienia się filantropów i ekonomistów," że o niej winna pomyśleć „sekcya rolna" i że najlepiej sprowadzić robotnika z okolic licznie zaludnionych — jest to mimowolnie drwić z jego niedoli. Jaką mu to ulgę sprawia, a w danej chwili co go to obchodzi, że jego rozpaczliwe położenie posłuży kiedyś komuś za przedmiot do rozmyślań lub nawet za powód do przedsięwzięcia jakichś środków? On ginie i szuka ratunku, nie może więc siąść filozoficznie na niezoranem polu i przy głodnem bydle rozpamiętywać „etykę obywatelską," albo studyować etnografię dla odnalezienia okolic „najliczniej zaludnionych." Gdy mu zabudowania staną w płomieniach, będzie zwoływał ludzi na pomoc, chociażby miał ich odciągnąć od najpilniejszej roboty u sąsiada. A postradanie całej czeladzi w gospodarstwie rolnem, to niemal pożar. Jeżeli więc nawiedzonemu tą klęską grozi ruina, „etyka" zaś nie pozwala mu nawet pomieścić ogłoszenia w pismach ludowych, to chyba on najroztropniej uczyni, pozostawiwszy potomkom przyjemność wysłuchania rady filantropów i ekonomistów, sam zaś powiesi się na pierwszem lepszem drzewie. Powtarzamy: pragnęlibyśmy, ażeby etyka regulowała wszelkie stosunki ludzkie, ale niepodobna włączać do niej obowiązków przesadnej rycerskości i krępować nimi jednej klasy ludu, podczas gdy inne wcale jej nie uwzględniają. Gdy fabrykant nie ma robotników, bez skrupułu odmówi wszystkich sąsiadowi; toż samo uczyni bankier lub kupiec z pracownikami dla swego kantoru i sklepu. Samym tylko ziemianom nie wolno werbować swej czeladzi przez pisma, ażeby nie pobudzić cudzej do większych wymagań. Taka galanterya jest czemś podobnem do organizacyi wojskowej, w którejby wszystkie pułki uzbrojone były karabinami, a jeden nie posiadał żadnego oręża i tylko podczas bitew tłomaczył wrogom, że strzelanie jest bardzo nieprzyzwoitem. Ziemianie nie mogą wytwarzać sobie osobnego kodeksu moralno-ekonomicznego, lecz muszą przyjąć ten, jaki normuje stosunki pracy we wszystkich warstwach produkcyi społecznej. Inaczej będą sympatycznymi Don Kiszotami, ale tylko Don Kiszotami.

Demonstracye ogrodnicze.

Od pewnego czasu Towarzystwo ogrodnicze urządza t. zw. „demonstracye," tj. specyaliści objaśniają poglądowo amatorom rozmaite zasady i sposoby umiejętnego postępowania z roślinami. A więc jeden pokazuje szczepienie, drugi — cięcie drzew, trzeci — przesadzanie roślin itd. Nie można tym krótkim i pobieżnym objaśnieniom odmówić wszelkiej wartości, gdyż czasem jakaś okruszyna wiedzy wpadnie do czyjejś głowy; zdaje nam się jednak, że je już wielce przeceniono. Kto zna trudność zdobycia wiadomości ogrodniczych, wymagających przedewszystkiem długiej praktyki, ten przyzna, że

z takich jednorazowych „demonstracyj“ niepodobna nauczyć się czegokolwiek nawet ogólnikowo. Przypatrywać się przez godzinę ogrodnikowi, tnącemu drzewa, znaczy prawie to samo, co przypatrywać się ślusarzowi, robiącemu zamek. W obu wypadkach można nabrać niejakiego wyobrażenia o tej czynności, ale ono nie wystarczy jeszcze na to, aby być ogrodnikiem i ślusarzem. Najuważniejszy widz nie potrafi zrobić zwykłej kłódki, ani przyciąć zwykłej korony. Wobec tego godzi się zapytać, czy rezultat nie jest zbyt skromnym owocem trudów? Według naszego przekonania, jeśli te lekcye poglądowe nie mają być zabawką, kształcącą dyletantów i fuszerów, którzy sobie lub komuś mogą narobić dużo szkody, to należałoby je rozszerzyć do wykładów dłuższych i bardziej pouczających. Gdyby np. amatorzy mogli przyjrzeć się szczepieniu lub cięciu drzew w szeregu wykładów praktycznych, odnieśliby z tego jakąś korzyść, ale jednorazowe objaśnienie jest w znacznej mierze zmarnowaną pracą nauczyciela i straconym czasem ich uczniów.

Jadłodajnie warszawskie.

Przyzwyczailiśmy się traktować wogóle wszelkiego rodzaju jadłodajnie miejskie, jako truciciełki. Jeżeli musimy iść na obiad przed oknami kuchni, zamykamy oczy z obawy, ażeby mimowolnem spojrzeniem nie obrzydzić sobie obiadu lub kolacyi. Ale oto specyalna ankieta, stworzona przez urząd lekarski, szczegółowo zbadała zakulisowe strony restauracyj naszych, a dr. Polak wyniki tej pracy ogłosił w *Kuryerze warsz.* Z tych danych okazuje się, że w dotychczasowem mniemaniu i bezwzględnych potępieniach było sporo przesady. Bo, jak głosi ankieta—około 60% zbadanych jadłodajni posiadało produkty w gatunku średnim, około 20%—w wysokim. Są to zakłady pierwszo i drugorzędne; zakupując mięso hurtownie od najlepszych firm, mają one przednie gatunki za cenę tańszą niż domy prywatne, które najczęściej gorsze i droższe resztki dostają. Tak samo bywa z rybami i jarzyną. Pozostałe restauracye (20%) podrzędne używają produktów w nizkim gatunku. O fryturze do okrasy również, zdaniem ankiety, krążą wieści przesadne. Jest ona używana w garkuchniach trzeciorzędnych, a w najuboższych podobno wcale jej nie ma, gdyż każdy kawałek tłuszczu przy mięsie chętnie stołownicy jedzą, przy tem ma tam powodzenie wyłącznie tłuszcz tani—szmalec. Natomiast restauracye pierwszo i drugorzędne posługują się niemal jedynie masłem dobrem, sprowadzanem w części z dalekich okolic (gdzie zapewne fałszerstwo jeszcze nie jest znane), wogóle ze wsi, od stałych wytwórców. „Świeże, dobre masło ustawicznie używane jest we wszystkich bez wyjątku pierwszo i drugorzędnych restauracyach, a nawet w trzeciorzędnych, lubo już nie we wszystkich i często nie w tak dobrym gatunku.“ Margaryna, dzięki ścisłej kontroli państwowej nad produkcyą i handlem, droższa jest znacznie od szmalcu wieprzowego i mało tańsza od masła. Przeto dla restauracyj tanich jest nazbyt drogim artykułem a dla lepszych mały stanowiłaby zysk. Produkty zepsute wykryto zaledwie w kilku wypadkach. Zużytkowanie resztek niedojedzonych do nowych potraw również nie jest rozpowszechnione, jak głosi ogół. „Że się to zdarza—mówi dr. P.—nie wątpimy, i nawet w szesnastu jadłodajniach wykryto resztki jedzenia, pozostawione do użytku na dzień następny. Wszakże proceder ten nie stanowi reguły w praktyce restauracyjnej.“ Znaczna większość stanowczo tego nie robi. „W restauracyach, w których przez skrzętną gospodarkę właściciela służba trzymaną jest w dyecie, resztki częstokroć pochłaniają zgłodniałe Walkirye.“ Natomiast czystość kuchen, bielizny stołowej, statków, talerzy itd., dużo pozostawia do życzenia. „Najpowszechniejszą wadą, od której nie są wolne nawet poniekąd bardzo renomowane zakłady, jest wielce zły sposób mycia statków kuchennych i talerzy, oraz niedostateczne oczyszczanie widelców. Statki kuchenne i talerze zazwyczaj płókane są w wodzie tak rzadko zmienianej, że zupełnie do wody nie jest podobną.“ Według zatem badań ankiety, restauracye nasze nie zasługują na wszechstronne potępienie. Pod względem produktów stoją wyżej niż berlińskie lub paryskie, gdzie fałszerstwo jest bardzo rozpowszechnione. Co więcej — zakłady pierwsze i drugorzędne dają potrawy smaczniejsze i lepiej przyrządzone, niż w domach prywatnych, średniozamożnych. Ale dobroć produktu nie zastąpi czystości; więc i nadal wrażliwi będą musieli przechodzić koło okien kuchennych z zamkniętemi oczami. Zresztą niech się pocieszą tem, że częstokroć od kuchen prywatnych musimy także odwracać wzrok, jeżeli chcemy bez obrzydzenia zjeść obiad. Nasze kucharki w większości wypadków nie grzeszą czystością i nie zawsze są pod tym względem kontrolowane. Dla usunięcia niechlujstwa w restauracyach, dr. Polak radzi urządzać je w ten sposób, iżby sale dla stołowników oddzielone były ścianami szklanemi od kuchen. Sama więc publiczność mogłaby sprawdzać czystość. Z oświetlenia powyższego możemy wyciągnąć wniosek, że pożywienie w restauracyach lepszych jest przeważnie zdrowe, że więc przypisywane im katary żołądka prawdopodobnie pochodzą z innego źródła: bufetu i—piwnic. Tu już nie komisye sanitarne, lecz sami stołownicy powinni czuwać nad sobą. Pozostaje jeden fakt niezbity i smutny: kuchnie podrzędne liche, przeznaczone dla znacznej większości mieszkańców ubogich—nie odpowiadają najskromniejszym wymaganiom hygieny.

Dla pracowników aptekarskich.

Głos nasz o losach i potrzebach farmaceutów, wywołał oddźwięk daleko po za Warszawą. Aptekarz z Ilinice (gub. kijowska), p. Aleksander Janiszewski, naszą myśl rozwija i podaje wniosek godny zaznaczenia. W Warszawie jest obok właścicieli sporo uczniów, pomocników aptekarskich i prowizorów, którzy nie mogąc należeć do Towarzystwa farmaceutycznego, powinni także myśleć o sobie. P. J. zachęca ich do założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy. „Sam fakt, że ono dotąd nie istnieje, smutnie świadczy o rozwoju umysłowym i społecznym kolegów warszawskich. Gdy malarze, stolarze i inni rzemieślnicy mają swoje stowarzyszenia, pracownicy aptekarscy dotąd o niem nie pomyśleli. Nie można tu wymawiać się obawą utraty miejsca lub narażenia się pryncypałowi. Znamy dobrze historyę naszych towarzystw i możemy zapewnić, że jeżeli tylko znajdzie się kilka osób uczciwych, zdolnych, energicznych i oddanych sprawie, to Towarzystwo ma przyszłość zabezpieczoną... Przecież nie trudno wziąć ustawę jednej z instytucyj, działających w Cesarstwie, zebrać kilka podpisów i uczynić podanie do władz właściwych.“ Słusznie autor listu powołuje się na przysłowie ukraińskie, które mówi: „gdy dziecko nie zapłacze, matka nie odgadnie jego potrzeb.“ Pracownicy aptekarscy, dopóki sami będą milczeć uparcie i czekać cierpliwie na jakieś zmiłowanie, na opiekuna, który da im bez trudu organizacyę gotową do zabezpieczenia bytu — nie doczekają się jej nigdy. Warto więc, ażeby interesowani usłuchali głosu swego towarzysza, który im w razie potrzeby nie poskąpi rad i wskazówek.

W DALI.

Mińsk. Dn. 17 b. m odbyło się ogólne zebranie członków Towarzystwa rolniczego. Pod przewodnictwem wice-prezesa, p. Edwarda Wojniłowicza. Zaznaczyć przytem musimy znamienny fakt, świadczący o żywotności instytucyi: przybyło 43 kandydatów na nowych członków, z którymi Towarzystwo posiada już 520. Gub. wileńska i Wilno, dostarczyły 10-ciu. Z gub. mińskiej najwięcej przedstawicieli dał powiat nowogródzki—ośmiu i piński pięciu. Z gub. kowieńskiej przybyło ośmiu. Reszta pochodzi z gub. witebskiej, grodzieńskiej, mohylewskiej. Widzimy stąd, jak szerokie obszary obejmuje ognisko interesów ziemiańskich. W chwili obecnej skończyło się trzylecie czynności zarządu, więc odbyto nowe wybory, z rezultatem następującym: na miejsce prezesa Towarzystwa, marszałka szlachty Pawłowa, wybrano jednocześnie naczelnika gub. mińskiej, ks. Trubeckiego. Na członków rady powołano ponownie pp. Witolda Narkiewicza-Jodko i Michała Łęskiego; na miejsce p. Sobka wybrano p. Andrzeja Snitka, obywatela pow. wileńskiego. P. Wojniłowicz oznajmił zebranym, że w roku bieżącym Towarzystwo nie będzie mogło podjąć się dostawy zboża intendenturze wojskowej wobec ofiarowania nadzwyczaj nizkich cen—54 kop. za pud żyta, co po odtrąceniu kosztów transportu uczyni mniej niż ofiarują rynki. Podobno nie jest to jednak sprawa stracona; intendentura jest skłonna do podwyżki. Zresztą wrazie nie dojścia do skutku tranzakcyi, Towarzystwo będzie się starało, ażeby rząd zakupił bezpośrednio od ziemian spożywaną zwykle przez wojsko ilość zboża.

Łódź. *Now. Wrem.* donosi, iż Towarzystwo ochrony zdrowia w Petersburgu otrzymało od fabrykantów okręgu łódzkiego szereg kwestyj sanitarnych. Między innemi są następujące: jaka liczba godzin potrzebna jest robotnikowi na odpoczynek przy średniem odżywianiu i przy pracy, dającej 150—170 rs. rocznego zarobku; jeżeli robota nocna nie jest szkodliwa, to czy odpoczynek przy hałasie dziennym osiąga swój cel hygieniczny; czy nie wzmaga się szczególnie potrzeba odpoczynku po robocie fabrycznej wobec tego, że towarzyszy jej natężona uwaga; jak wpływa praca fabryczna na skłonność do chorób, śmiertelność i wyradzanie się; czy kobiety i mężczyzni mogą pracować jednakową ilość godzin; ile czasu potrzeba na zaspokojenie potrzeb duchowych i umysłowych robotnika itd. W celu opracowania odpowiedzi na te pytania, z liczby członków Towarzystwa wybrano komisyę pod przewodnictwem dr. Wireniura i składającą się z członków d-rów: Lipskiego, Herzensteina, Dementjewa, Nikolskiego, Michajłowskiego i kobiety-lekarza St. Pokrowskiej.—Do Petersburga udała się deputacya łódzka w sprawie wyjednania nazwy „szkoły Mikołajewskiej“ dla nowego zakładu technicznego. P. Poznański ofiarował 100,000 rs. na urządzenie tej uczelni.

Petersburg. Dzienniki miejscowe donoszą, że wobec zbliżającej się koronacyi, przy ministeryum Dworu stworzono specyalną komisyę do spraw koronacyjnych, która już rozpoczęła czynności. —Zapowiedziano tu występy Heleny Modrzejewskiej. Pierwsze przedstawienie odbędzie się 17 kwietnia. — Głośną sprawę Olgi Palem o zabójstwo kochanka, senat polecił ponownie rozpatrzyć w drugim departamencie izby przez inny komplet sędziów.—Miejscowe Towarzystwo astronomiczne przyznało 250 rs. nagrody p. W. Ehrenfeuchtowi, asystentowi obserwatoryum warszawskiego.—W Moskwie tworzy się prywatna wyprawa naukowa, na której czele stoi hr. Bobrinskij.—Studentom uniwersytetu moskiewskiego, kończącym wydział przyrodniczy, ofiarowano posady starszych kontrolerów zarządów akcyzy w guberniach, gdzie wprowadzono skarbową sprzedaż spirytusu

Kijów. W Paryżu aresztowano poddanych rosyjskich: Fastowskiego i Behhafera, którzy wyłudzili od rozmaitych kupców paryskich do miliona franków. Wysyłali oni z Kijowa cyrkularze, proponując kupcom nabywanie złotego piasku, jakoby ukradzionego. Kupcy przyjeżdżali nad Dniepr, gdzie zamiast złota otrzymywali za 60—80 franków opiłków miedzianych.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź na art. „Plamy na słońcu.“

Gdyby minotaur powstał z grobu i wielkim głosem skarcił tegoczesne słonie za to, że samochcąc wlażą w sidła myśliwych, napewno nie wywołałoby to jeszcze wśród nich tak wielkiego zdumienia, jak wymierzona w ziemian ostra satyra p. N. Rouby. Czego ten człowiek chce, skoro dokładnie nie zna ani warunków naszej ekonomii gospodarczej, ani życia ziemian? Obrazek „plam na słońcu“ został wydobyty przez N. R. na światło dzienne z dość odległej przeszłości.

W ostatniem dwudziestoleciu, a nawet i dawniej jeszcze narówni z szybkimi postępami, jakie wiedza rolnicza czyniła, tuż za nią zaczęła podążać i praktyka, zespalając się coraz bardziej z teoryą. Jednocześnie z tym ruchem na przód zaczęły trapić nasze rolnictwo różne zmory pod postacią konkurencyi amerykańskiej, ceł ochronnych, wzrastających z każdym rokiem ciężarów stałych itp. Stąd ziemianin, który w owej chwili z odpowiedniem wykształceniem i energią wystąpił do walki z przeciwnościami, napotykał odrazu z jednej strony trudne do zwalczenia przeszkody natury ekonomicznej, a z drugiej—musiał łatać braki, niedopełnione przez poprzedników, trzymających się zasady: „podpieraj a zbieraj.“ Ileż to majątków jeszcze w niedalekiej przeszłości cierpiało na brak dachów całych, a nawet budynków, nie mówiąc już o złym stanie inwentarzy żywych i martwych przy chronicznym braku gotówki?

Kulejąca, podług p. N. R., arytmetyka ziemian musiała przestać kuleć wobec zmiany potrzeb i warunków, które za nieprawidłowe prowadzenie gospodarstwa lub życie nad stan bardzo szybko wymierzały karę pod postacią subhasty.

O ile w pedagogice system kar naturalnych prowadzi bezpośrednio do najlepszych rezultatów, jakkolwiek nieraz dla pupila jest stokroć dotkliwszym od kar sztucznych, o tyle w życiu ziemian warunki ekonomiczne zdziałały już bardzo wiele na drodze wykształcenia praktycznego. Dziś każdy rolnik musi bardzo ściśle obliczać swoje wydatki, sporządzać budżety i umieć gruntownie nie tylko arytmetykę, inaczej bowiem będą nader krótkie chwile jego istnienia.

Zobaczmyż, w jaki sposób „uchyla zasłony z życia ziemian“ p. N. R.

Podług niego dochód przeciętnego ziemianina wynosi 2,212 rs., rozchody obliczone pod 1), 2), 3) i 4) 2,465. Prócz tego: utrzymanie domu 600, wydatki księgarskie 100, stroje 200, doroczne przyjęcia i fety 100, wycieczki za granicę 500, wydatki na cele użyteczności ogólnej 50. lekarz i apteka 150, preferans lub wint 50. Pomijam już w tym rachunku „oszczędności na czarną godzinę“ i sumuję—4,215 rs.

Czyli wydatki przeciętnego ziemianina podług p. N. R. przewyższają jego czysty dochód o 2,003 rs., kapitał zaś cały wynosi 60 tysięcy, czyli—potrąciwszy pożyczkę Towarzystwa—25 tys. rs., 35 tysięcy rubli. A zatem, na podstawie tego rachunku, przeciętny ziemianin uszczupla swój kapitał 35 tys. co roku o 2,003 r., czyli innemi słowy wyczerpuje go zupełnie w przeciągu lat 10-ciu, poczem przestaje już być ziemianinem. Nieszczęsne tedy plemię ziemian, podług p. N. R., już od niepamiętnych czasów powinno przejść w dziedzinę mitu. Jedno z dwojga: albo, rysując sylwetkę wyjątków, nie nazywajmy ich ludźmi „przeciętnymi“ dla chwili obecnej, albo szkicując budżet „przeciętnych“ obrachujmy sami swoje zdolności arytmetyczne wpierw, nim posądzimy o brak ich mózgi ziemiańskie.

Rozważmy teraz stosunek ziemianina do robotników.

„Rolnik stale żąda, aby te ogniwa (ekonom, karbowy, polowy itd.), łącząc go z masą roboczą działały *tylko w imię jego interesów*; patronów zaś czarnej tej masy nie znosi i wypędza z granic swojego państewka.“ A czy pan Rouba kupuje sobie szopy w imię tego, aby krawcowi było ciepło?..

Tak, my rzeczywiście wymagamy od naszej administracyi, aby wszelkie roboty gospodarcze były wykonywane możliwie dobrze, prędko i tanio; nie idzie jednak zatem, aby „wyparzona gęba“ i „harapnik“ miały u nas popyt. Minęły czasy terroryzmu; dziś jeżeli jeszcze są między nami zastarzali amatorowie bicia, to już tylko typy znikające, bośmy się przekonali o małej wartości tych środków represyjnych. Dziś już w wielu gospodarstwach coraz bardziej się rozwijają roboty akordowe, na wymiar, przyczem najemnik tyle dostaje, ile zarobi, a rolę „wyparzonych gąb“ i „harapników“ zupełnie wykluczono, ograniczając działalność dozorców do minimum przez zespolenie interesu robotnika z interesem właściciela. Stąd też i stosunek moralny robotnika do chlebodawcy stał się już znacznie lepszym. Znam dwa wypadki w pobliskiej okolicy, gdzie po pożarze włościanie dobrowolnie ofiarowali się zwieźć potrzebny materyał, odmawiając przyjęcia zapłaty. podczas pożaru ratowali dwór wszelkiemi siłami, a przy takiej okazyi do kradzieży, nie zginęła w tych dworach najdrobniejsza rzecz. Jest to dowód, że pomimo przeszkód zewnętrznych, dwory jednak znalazły drogę do wsi i myślą nicco o umoralnieniu swych mniejszych braci.

Materyalny stosunek parobka do właściciela jest stokroć lepszy dla pierwszego, niż robotnika fabryki do jej zarządu. Najpierw u nas jest ogromny popyt na robocze ręce (nawet rocznej służby), a mała stosunkowo podaż; w fabrykach zaś dzieje się wprost odwrotnie. To też jeżeli już nie przez uczciwość, to z konieczności musimy wynagradzać naszego parobka dobrem a nie pośledniem—jak chce p. N. R., zbożem i nawożonem polem. Powtóre rachunek prosty już nas nauczył dawno tej zasady, że gdzie parobek ma suche i ciepłe mieszkanie i gdzie sumiennie wypłacają mu jego należność, tam panuje większe poszanowanie cudzej własności i więcej chęci i sił do pracy.

P. N. R. zapuszcza się w pozornie nader ścisłe obliczanie matematyczne rozchodów parobka; ale że liczba jest tak poczciwym utworem mózgu ludzkiego, iż daje się dowolnie wyciągać i kurczyć, nie tracąc charakteru ścisłości, więc też autor gra na tej harmonijce najdziwaczniejsze melodye. Wypada mu z tych *ścisłych obliczeń*, że parobek jada tylko przez 110 dni w roku, a pozostałe 225 udaje doktora Tannera. Zagalopowawszy się aż tak daleko na swoim matematycznym koniku, p. R. już nie znajduje ratunku dla biednego głodomorka, przesyłając tylko ciężkie westchnienie na rachunek tego poważnego deficytu.

Niechże rzeczywistość co prędzej zdmuchnie z czoła p. Rouby tę ciężką troskę. Ordynarya parobka 10—12 korcy twardego zboża, a z czeladnikiem do 15 i 20 korcy gotowych kartofli lub od 20—50 korcy z urodzaju, danego mu pola, wystarcza na zupełne wyżywienie przy mleku od krowy, karmionej nie samą słomą, lecz na równi z bydłem dworskiem, wyjąwszy otręby, gdzie one są używane. Korzec zboża, dawanego w ordynaryi waży przeciętnie 230 f., licząc obniżkę na jęczmień, jako lżejszy od pszenicy, żyta i grochu. Ordynaryę 10-korcową pobiera parobek liczący najwyżej 3 osoby w swojej rodzinie, to jest on, żona jego i dwoje małych dzieci (te ostatnie należy liczyć za jedną osobę); pobierają więc oni rocznie 2,300 f., czyli na każde z trojga wypadnie po 767 f., a dziennie cokolwiek więcej niż po 2 f. Zważywszy, że przytoczony tu stosunek, jest najgorszy, bo liczymy minimum pobieranej ordynaryi, nie możemy przyznać racyi p. R. i z nim razem ubolewać nad losem robotnika wiejskiego.

Gotówka, jaką otrzymuje rodzina parobka za dniówki, wynosi od 35—40 rs. na osobę, co łącznie z pensyą stanowi od 55—60 rs. rocznie, jeżeli tylko jedna osoba w rodzinie parobka chodzi do pracy.

Również jak robotnik, podług p. R., jest upośledzonym w folwarku *przeciętnym* koń, wół, a nawet i martwe machiny rolnicze! Zbytecznem byłoby chyba dowodzić, że tak nie jest. W myśl wyżej powiedzianego o warunkach ekonomicznych naszych gospodarstw, z którymi liczyć się musimy, majątki, ze zdychającymi końmi i popsutymi narzędziami, upadają, a ich właściciele przechodzą w stan spoczynku, którego znów p. Rouba stanowczo odmawia robotnikom wiejskim.

Po raz nie wiem który wywody arytmetyczne prowadzą autora „plam na słońcu“ na manowce.

Praca robotnika wiejskiego tem się różni od jednostajnej fabrycznej, że nie wymaga bynajmniej określonych i jednakich dziś i jutro ruchów mięśniowych. Dziś robotnik kosi, jutro młóci, pojutrze orze itd. Stąd nie może mieć wprawy i szybkości robotnika fabrycznego, który np. obcinając przez całe życie pas gliny wychodzący z pod maszyny do prasowania cegły, o ile ta maszyna działa, o tyle przerwać pracy i wypocząć nie może. Robotnik wiejski przeważnie od przyczyn zewnętrznych jest niezależny i o ile się zmęczy — wypoczywa, a nikt mu tego nie broni, byleby wypoczynek nie przechodził w próżniactwo i stratę czasu

Dzień roboczy od kwietnia do września wprawdzie jest znacznie dłuższy niż zimowy, nigdy jednak 13 godzin nie przekracza. A mianowicie: od 4—6-ej czyszczenie i karmienie inwentarza. Po śniadaniu od 7—12-ej robota w polu, poczem 2 godziny obiadu i wypoczynku, które w upały przeciągają się do 4-ch (od 11-ej do 3) i od 2-ej do 8-ej—robota w polu. Czeladź dzienna nigdy wcześniej, niż o 7-ej w pole nie wyrusza, kończąc robotę o 8-ej wieczór i korzystając z 2-godzinnego wypoczynku w połud-[illegible]

Cyfry powyższe są tak dalekie od świadectwa o „obydnem wyzyskiwaniu służby i zwierząt,“ a praca robotnika wiejskiego o tyle przyjemniejszą od pracy wśród dymu i skwaru w fabrykach, że doprawdy strapienie p. N. R. można uważać za urojone. Dla zupełnego uspokojenia go, proponuję mu zwrócić się do statystyki śmiertelności: kto dłużej żyje: hutnik lub giser, czy robotnik wiejski?

Maryan Frank.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Spis ogólny ludności całego państwa rosyjskiego odbędzie się w jesieni. Na ten cel przeznaczono 3,800,000 rs.

— Departament wyznań obcych zawiadomił generalnego superintendenta kościołów ewangelicko-luterańskich, iż wszyscy duchowni luterańscy winni obowiązkowo władać językiem ogólno-państwowym; dlatego też pastorowie, nieuwzględniający powyższych przepisów, będą usuwani z posad. (*Birż. Wied.*).

— *Grażdanin* pisze, iż do wyższej władzy zaniesio-[illegible]

— Z powodu dostatecznej liczby kandydatek do służby telegraficznej rządowej w Warszawie, wstrzymano nadal przyjmowanie kobiet.

— W Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krakowskiem Przedmieściu prowadzone są objaśnienia popularne różnych gałęzi wiedzy. W ubiegłym tygodniu S. Kramsztyk miał bardzo piękne i prawdziwie przystępne wykłady o mierzeniu ciepła i pracy.

— W Galicyi władze policyjne przeciwdziałają ujawniającemu się obecnie ruchowi emigracyjnemu, szczególnie śród włościan zupełnie ubogich. Największą liczbę wychodźców dostarcza pow. przemyski, skutkiem namowy Towarzystwa przewozowego „Udi-[illegible]

— W Finlandyi wprowadzono karę kryminalną za pijaństwo.

Zmiany. Pomocnik general-gubernatora warszawskiego, baron Medem, otrzymał uwolnienie z tego stanowiska z pozostawieniem w godności senatora i w sztabie generalnym.

Bitwa pod kasą. Przed kilku miesiącami zamordowana została przez swego lokaja w Petersburgu nieja-ka Czarnecka, która nie miała ani potomków, ani bliskich krewnych. Ale ponieważ ludzie bogaci mają zawsze kuzynów, więc do olbrzymiego jej majątku zleciało się stado spadkobierców, którzy usiłują wzajemnie wydziedziczyć się i rozpoczęli szereg procesów. Komuś łup się dostanie, a niewątpliwie znaczna jego część 40 adwokatom.

Szkoły. Egzaminy w uniwersytecie warszawskim rozpoczną się wcześniej, niż zwykle. Z tego powodu wykłady zawieszono 5 kwietnia na IV kursie wydziałów matematycznego, filologicznego, prawnego i na V

lekarskiego, tudzież na III kursie oddziału matematycznego. Na innych kursach wszystkich wydziałów lekcye kończą się 27 kwietnia; egzaminy zaś będą ukończone przed 13 czerwca.

— Przy progimnazyum we Władywostoku postanowiono otworzyć specyalną klasę języka chińskiego.

Wystawy i zjazdy. Między 1 a 6 kwietnia odbył się zjazd inżenierów wodociągowych w Warszawie. Osobne sprawozdanie zamieścimy w przyszłym numerze.

— W Künstlerhausie wiedeńskim otwarto doroczną wystawę sztuk pięknych. Między pierwszorzędnemi pracami artystów niemieckich, angielskich, hiszpańskich i francuskich są tam obrazy: Kazimierza Pochwalskiego, Horowitza, Zygmunta Ajdukiewicza, Jana Stykl, Józefa Brandta, Alfreda Kowalskiego i Wacława Szymanowskiego.

Zdrowie publiczne. Od d. 27 lutego do 21 marca w stacyi hygienicznej warszawskiej dokonano 29 analiz. Obok rezultatów zadawalających z rozbioru mleka, wina, piwa i koniaków, w winie ze składu Halbersztata (dawniej Margules) przy ul. Granicznej tudzież od Zylbersteina za Żelazną Bramą znaleziono kwas salicylowy. Wino czerwone ze składu hurtowego Szwarcmana (Nalewki nr. 37) zabarwione czernicą.

— Dr. A. Marmorek, pracując nad gorączką połogową w instytucie Pasteur'a, doszedł do bardzo ważnych wyników. Twierdzi on, że przyczyną tej ciężkiej choroby jest paciorkowiec ropny (*streptococcus pyogenes*). Za pomocą metody, zbliżonej do sposobu Roux'a, dr. M. otrzymał antytoksynę, którą nazwał „antistreptokokcyna." W szpitalach paryskich środek ten zastosował dr. Chantemesse, ze skutkiem bardzo pomyślnym.

— Komitet anticholeryczny, czynny w Warszawie, ma na rok bieżący do rozporządzenia z kasy miejskiej 25,000 rs.

Państwo żydowskie. *Gaulois* podaje pogłoskę, iż baron Hirsch ma traktować o nabycie Cypru, który Anglii przyniósł ciężary finansowe, więc obecnie proponuje on Turcyi, ażeby wyspę ową z powrotem odkupiła. Otóż twórca kolonizacyi ma podobno ochotę wypłacić Anglii odszkodowania i ponosić daninę dla Turcyi. Tym sposobem Cypr, przeznaczony na nową kolonię, z czasem stworzyłby prawie niezależne państewko żydowskie.

Zbrodnia. Dnia 31 marca w południe przy ulicy Przyrynek w Warszawie, konduktor kolei Nadwiślańskiej, Antoni Wiszniewski (32 lata wieku), ranił śmiertelnie żonę i zastrzelił troje dzieci własnych.

Gospodarka miejska. Skwer na placu Grzybowskim będzie w r. b. całkowicie ukończony.

— Place Trzech Krzyży i Witkowskiego mają być połączone torem tramwajowym przez ul. Bracką, Zgodę i Sienną.

— Zarząd miejski pozwolił Towarzystwu gazowemu oświetlić Nowy-Świat do ulicy Chmielnej systemem Auera.

Powódź. Według depeszy z Budapesztu, powódź poczyniła straszne spustoszenia w wielu miejscowościach Węgier. Okolice Berna morawskiego i Opawy również ucierpiały.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józefowi Sl. w Kijowie. Osobno nie wydana, znajduje się w zeszytach jesiennych *Biblioteki warsz.* z r. 1892.

U. S. G. w Dąbrowie. Nie ma na to żadnej rady; oni są ubezpieczeni.

Panu Ant. Z. w Kijowie. Kwestyę tę poruszymy w jednym z najbliższych numerów.

Panu Cz. w Dąbrowie. Już przez to samo „ma coś wspólnego," że zawiera również etykę, a w niektórych systemach jest prawie tylko etyką. Po polsku dzieła takiego nie ma.

Pani Maryi Br. w Łodzi. Nad słownikiem języka polskiego pracuje od lat kilku grono specyalistów, którzy zapewne już niedługo zaczną ogłaszać go częściami. Będzie to wydawnictwo bardzo gruntowne.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Марта 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.